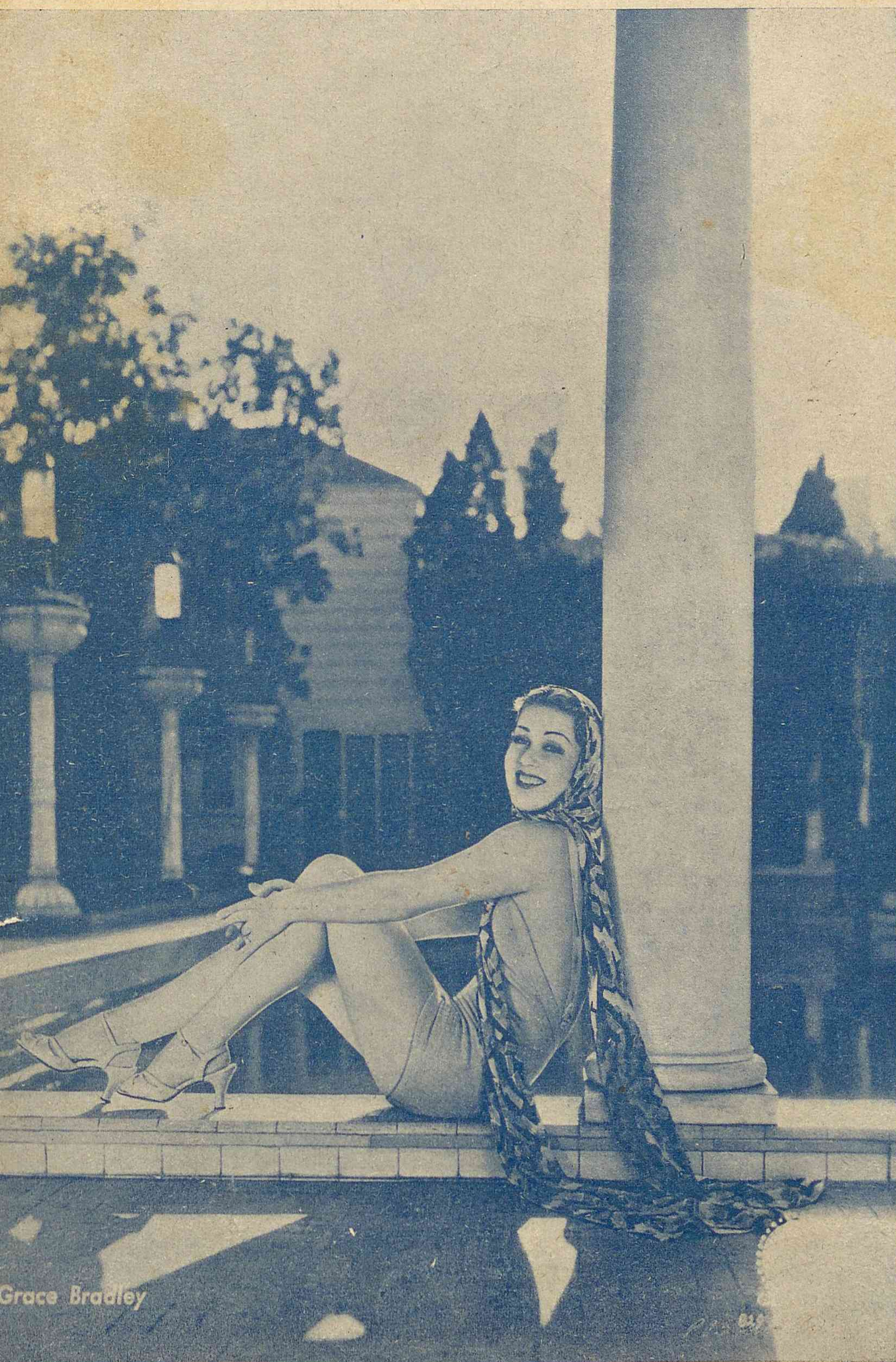
ŚWIAT

Nr. 31. 1. VIII. 1936
CENA 1 ZŁ.



w numerze:



Ochotnicy garną się do milicji ludowej

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 31 1. VIII. 1936

L. CHRZANOWSKI

DYKTATURY WALCZĄ

Dziesięć dni toczą się już walki w Hiszpanji.

Wybuch oburzenia, rewolucja, spowodowana przez wywiezienie nocą z domu posła monarchistycznego Calvo Sotelo i zamordowanie bezbronnego przez bandę oprawców — przeistoczyły się w regularną wojnę domową.

Armaty, tanki, samoloty, zdobywanie piędź po piędzi własnej ziemi — oto obraz tragiczny walk, pozornie tak oddalonych od nas. Pozornie, bo chociaż w Hiszpanji, odległej o setki kilometrów od nas, walczą na śmierć i życie dwa obozy polityczne, to jednak nie jest dla nas obojętne, kto zwycięży. Zwycięstwo bowiem w Hiszpanji nie toczy się o takie, czy inne wolności obywatelskie, o hasła demokracji czy reakcji.

Walki w Hiszpanji toczą się o dyktaturę.

Przy zwycięstwie „Fronte Popular" — frontu ludowego będzie to dyktatura proletarjatu, przy zwycięstwie generałów będzie to dyktatura wojskowa.

Systemy takiej, czy innej dyktatury — to zaprzeczenie swobód obywatelskich, wolności opinji i demokratycznych rządów.

Czy istnieje swoboda głosowania, zebrań, prasy, stowarzyszeń w Sowietach?

A przecież ma to być państwo pracującego ludu!

Czy dyktatorzy Kremla, gdy doszli do władzy, uszanowali kanony demokratycznych praw, o które walczyli całe swe przedbolszewickie życie. Czy nie wytępili działaczy proletarjackich z obozu socjal - rewolucjonistów, mieńszewików? Czy co jakiś czas nie wysyłają na „zsyłkę" swych towarzyszy trockistów, zinowjewowców? Czy, gdyby tamci byli u władzy, nie robiliby tego samego z leninowcami?

Czy po wyborczym zwycięstwie we Francji komunistyczna „L' Humanité" nie nawoływała do zamknięcia pism prawicowych?

Czy w Sowietach istnieje swoboda religji i sumienia?

Czy uszanowano to hasło socjalistyczne o niewtrącanie się do duszy ludzkiej?

Czy w Hiszpanji jednym z pierwszych odruchów każdej re-

wolucji i każdej dzielnicy, gdzie zwyciężał front ludowy nie było palenie kościołów i klasztorów?

Czy w dyktatorsko rządzonej III-ej Rzeszy istnieje swoboda przekonań politycznych, zebrań, stowarzyszeń, religji, prasy? Czy ludzie inaczej myślący, niż rząd, mogą zjednoczyć się walczyć ideowo słowem i piórem w Niemczech, Sowietach, Hiszpanji, czy Włoszech?

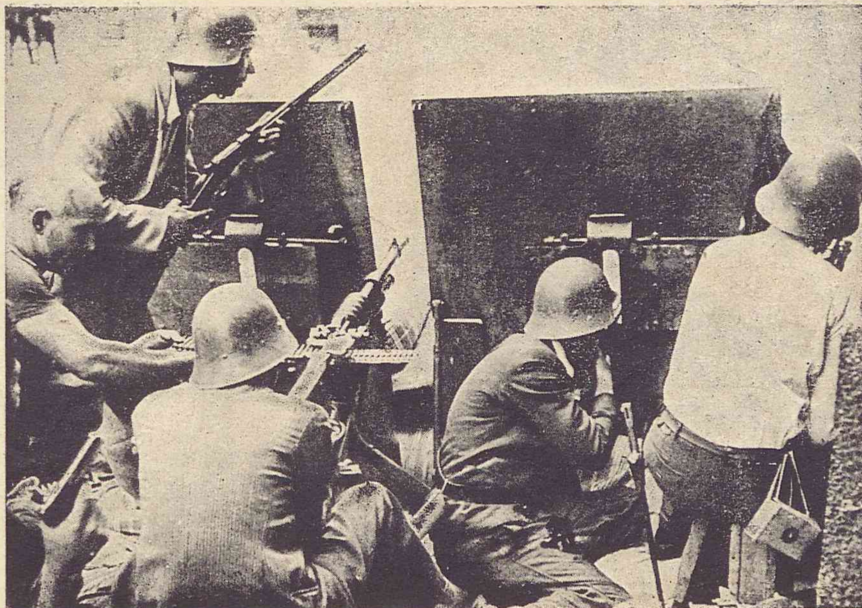
Nie.

Istnieje tylko skala zakazów, prześladowań, tępienia!

Wszędzie gdzie są mniej lub więcej jawne dyktatury — niekontrolowane przez parlamenty, demokratyczne wybory, tam wszędzie musi logicznie następować zanik praw i wolności obywatela! Gdy komunista, czy frontowiec ludowy krzyczy, że zwalcza faszyzm w imię wolności obywatelskiej, to jest to obłuda pierwszego stopnia. Walczy on o wolność komunizmu, swej partji, o pognębienie innych i dyktaturę swoich ludzi!

To samo dotyczy faszysty! To samo dotyczy tych doktryn, które siłę państwa chcą opierać nie na świadomej współpracy obywateli — istotnych przesłankach demokracji i wolności — ale na dyktaturach swoich ludzi, ugrupowań, związków, czy poprostu klik, kamaryl, band!

Walka o dyktaturę w Hiszpanji, dotyczy nas dość blisko.



Członkowie milicji ludowej ostrzeliwują powstańców.

Zwycięstwo obecnych sił rządowych, to niewątpliwe umocnienie się, usadowienie systemu sowieckiego na drugim krańcu Europy. To wzięcia Europy w dwa ognie komunizmu. To przy obecnym nastawieniu Francji wzmocnienie komunistycznych sił w Republice, która dotąd była ostoją idei parlamentarnych. W tej sytuacji Europa zbliżyłaby się do rzeczywistości komunistycznej z Sowietami, Hiszpanją i przychylną Francją, stając oko w oko z rzeczywistością antykomunistyczną Niemiec, Włoch i Węgier — jako najjaskrwawszych wyrazicieli.

Linję Podziału Europy stanowićby zaczęły nie polityczne, narodowe postulaty państw, rywalizujących w swych międzynarodowych planach, lecz społeczne żądania, a raczej opowiedzenie się za komunistycznym programem Sowietów, wspartych o Hiszpanję i część Francji, lub przeciwstawienie się tym tendencjom.

W razie zwycięstwa dyktatury wojskowej, o ileby nie wróciła ona Hiszpanji rządów parlamentarnych istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że w polityce międzynarodowej uzyskałaby pomoc i wzmocnienie, zarysowująca się obecnie linja polityki Berlina — Wiednia i Rzymu. Linja łącząca morza: Północne i Śródziemne.

Ta druga jednak ewentualność nie jest tak pewna, wobec wpływów, jakie zawsze na politykę Hiszpanji może posiadać Anglja.

Nie jest więc dla nas obojętna rewolucja — wojna domowa w Hiszpanji.

Jest ona jeszcze jednym przykładem, jak silnie zazębiają się współcześnie sprawy pozornie odległe i bezpośrednio nie dotyczące nas.

Dziś żaden naród, żadne państwo nie jest izolowane. Dlatego tak przezornie, umiejętnie trzeba dobierać sobie partnerów, tak starannie zawierać sojusze.



Na placu Katalońskim w Barcelonie, trupy końskie polewane są naftą i spalane.

POŁÓW PEREŁ



Cisza...

Jakoś o Parylewiczowej cicho. Sędzia śledczy, który bada jej sprawę — zachorował. Możeby, jak słusznie domaga się wileńskie „Słowo", zastąpić go kimś zdrowszym, czy bardziej wypoczętym?

Bo przecież, znając energję ministra Grabowskiego, wiemy dobrze, że mu zależy na nieprzewlekaniu sprawy. Zależy mu na jej *całkowitem wyjaśnieniu*. Tak, jak całemu społeczeństwu, które z odrazą myśli o tej najbrudniejszej z brudnych afer.

Kochajmy się jak bracia, a liczmy się jak... Niemcy

Czytamy w „Kurjerze Poznańskim" następujące słuszne uwagi.

Turyści wszystkich krajów, jadąc do Niemiec, korzystają z tak zw. „registermarek", które kosztują prawie połowę oficjalnej waluty niemieckiej, czyli „reichsmarek". W ten sposób turyście pobyt w Niemczech wypada o połowę taniej. Niemcy widać na tem nie tracą, bo na przyciągnięciu turystów zależy im bardzo.

Tak więc płacą i francuzi, i anglicy, i holendrzy, gdy wjeżdżają w granice Rzeszy. Tak nie płacą tylko... polacy. Czytamy:

„Podczas gdy dla gości olimpijskich Niemcy robią wszelakie udogodnienia i nawet podnieśli maximum wypłat czeków „registermarkowych" z 50 marek na 100 marek dziennie na czas Olimpjady, — turyści nasi kupować muszą markę po złotym kursie 213, przyczem jeszcze nakłada się na nich obowiązek nabycia po tym drogim kursie pewnej określonej minimalnej kwoty".

Czy zarządzenie takie wyszło ze strony niemieckiej — czy może ze strony władz polskich — pismo nie dodaje. Ale obywatele Polski, z Rzeszą zaprzyjaźnionej, chcieliby jednak wiedzieć: czy tak nas skubią — nasi przyjaciele?

Pseudo - nędzarz

Zmarł w Międzylesiu żebrak, Altman. Przeszukując pozostałe po nim łachy policja znalazła książeczkę oszczędnościową na 6.300 złotych i — słuchajcie — *30 kilogramów srebrnych i złotych monet!* Państwo wiedzą po czemu jest dzisiaj gram złota? No to dobrze.

Zapewne nieraz spotkaliście go, gdy wyciągając chude szpony, mamrotał litosiernie: „Głodny, trzy dni nic w ustach nie miałem"...

Mogliście mu śmiało odpowiedzieć: „To idźcie, dziadku, na szampana z ostrygami do Hotelu Europejskiego".

I mielibyście rację.

„Co cóś?"

W „Wiadomościach literackich" z dnia 19 lipca r. b. na ostatniej stronie znajdujemy następujące zagadkowe ogłoszenie:

„ZAKONIK DWUCH"

wzywa dalszych, aby też poczuli się, stanęli i przystąpili. Nasze hasło: „Czołem społem i niebawem". Wkrótce ukażą się pierwsze publikacje oraz ideały".

Hm...

Czyżby to miał być jakiś „Zakon" założony przez wydawcę tego pisma? Bo miał on w ostatnich czasach, jak doniosła cała prasa, przykrą sprawę o obrazę moralności w tramwaju, gdzie właśnie zmierzał ku urzeczywistnieniu pewnej formy *„zakonu dwuch"... (zakony są zawsze jednopłciowe*, jak wiadomo).

Rebus...

Żart? Satyra? Nowe wydawnictwo? A może głębsze znaczenie ?

Fason

Mówi się, że Polacy nie dbają o fason. Proszę: jak donosi jedna z agencyj, okólnik naczelnika ruchowo - handlowego w Przemyślu nakazuje kolejarzom *„nosić mundury należycie odprasowane, trzewiki koloru czarnego* — (bo przy bronzowych, broń Boże, mógłby się pociąg wykoleić— przypisek nasz). Okólnik nakazuje dalej, aby *zawiadowcy i dyżurni przywdziewali podczas inspekcji dygnitarskich... białe rękawiczki!*

Kiedy maszyniści i tragarze mają przywdziewać frak — okólnik narazie nie wymienia.

Słowa i czyny

Anglja oświadczała się z wielką humanitarną solidarnością wobec napadniętej Abisynji. Kiedy Abisynję wreszcie opuściły angielskie czynniki oficjalne, mówiło się jeszcze głośno o tem, że cały naród angielski, jak jeden mąż, stoi przy zwyciężonym negusie. I szumnie zbierano datki na pomoc dla podbitego kraju. Spodziewano się zebrać *conajmniej dwa miljony funtów.*

Zebrano — *funtów 564.*

Ofiarowało tę sumę — 428 osób.

Teraz już wiemy dokładnie, ilu prawdziwych przyjaciół posiada w Anglji Abisynja.

Sportowy fajer

Olimpjada berlińska rozpala wyobraźnie. Każdyby jechał...

Oto słynny recydywista, wielokrotnie karany przestępca, niejaki Krajczyński, odsiadujący obecnie więzienie w Bydgoszczy, złożył władzom więziennym podanie, w którem prosi... o udzielenie urlopu, gdyż „musi" pojechać do Berlina na Olimpjadę. Był mianowicie poprzednio prezesem jakiegoś klubu sportowego — (winszujemy klubowi) — i pała nadal takim ogniem sportowym, że bez Olimpjady ani rusz.

Dodać należy, że tak był pewien „urlopu", że wpłacił już na to konto 140 złotych zaliczki.

Zdaje się, że nieludzkie władze więzienne nie dadzą się wzruszyć tym wprost nieprzeciętnym sportowym zapałem...

Biały kruk

Nieraz — i niezawsze z entuzjazmem — pisaliśmy o Urzędach Skarbowych.

Raz napiszemy właśnie z entuzjazmem — bo zasłużył.

Jak się dowiadujemy, naczelnik urzędu skarbowego w Jarocinie wystąpił z inicjatywą nawiązania istotnego i ludzkiego kontaktu z płatnikami. Nie chce być dla nich niedostępną mumją, urzędującą przez godzinę dziennie i udzielającą z zasady odpowiedzi odmownych. Chce być wobec nich — człowiekiem.

Zwołał przeto zebranie swych podatników i najuprzejmiej poprosił, aby mu stawiali pytania, wyłuszczali zarzuty, wyrażali wątpliwości. Zebranie nie odbywało się w lokalu urzędu, co ludzi bardzo ośmielało. Zobaczyli, że i naczelnik jest zwykłym człowiekiem, jak oni. I otrzymali mnóstwo cennych wyjaśnień, o które w zwykłym trybie doprosić się niesposób. Nastrój zapanował taki, że zapał do płacenia podatków wzrósł wielokrotnie.

Płatnik nie jest przecież zawsze złodziejem — jak nam to się często usiłuje wmówić — płatnik jest tylko najczęściej nieuświadomionym nieszczęśnikiem, dławionym przez niezrozumiałe i często nieznane przepisy.

Z chwilą, gdy płatnika potraktowano jak człowieka — pokochał swego naczelnika skarbowego!

Teorja i praktyka

„Kochajcie swą stolicę".

„Miłujcie kwiaty i drzewa".

„Szanujcie kwietniki i ogrody".

No pewno. To wszystko są elementarne zasady kulturalnego stosunku mieszkańców do swego miasta. Warszawiacy słuchają takich słów coraz chętniej — a przyznać trzeba, że propaganda tych haseł jest naprawdę niestrudzona i głośna.

Tylko...

Tylko, że właśnie nie kto inny, jak władze miejskie zarządza jednocześnie wycinanie starych, pięknych drzew, zdobiących Plac Wilsona na Żoliborzu. Rozpacz ogarnia mieszkańców.

Bo właśnie już się nauczyli kochać owe drzewa...

Bezczelny pigmej

Gdańsk w czasie ostatnich upałów utracił przytomność. I ni stąd ni zowąd wyobraził sobie, że jest... suwerennem mocarstwem. Zapomniał o tym maleńkim szczególe, że nie jest wogóle czynnikiem samodzielnym na terenie międzynarodowym, gdyż, jak wiadomo, polityka zagraniczna Gdańska jest w rękach Polski.

Polska patrzy na to miotanie się bezczelnego pigmeja — pobłażliwie.

Zbyt pobłażliwie, jeżeli chodzi o czynniki decydujące. Bo co myśli o pigmeju ogół Polaków — to wiemy, aż nadto dobrze z zebrań protestacyjnych, które, jak burza, przeszły przez całą Polskę.

Tylko — naszem skromnem zdaniem — czy system protestu wybrano właśnie odpowiedni? Czy pigmej ulęknie się — słów?

Pigmeja najłacniej byłoby wziąć głodem. Bezczelny karzeł, żyjący z Polski — niech się przekona, że bez Polski zginie. Taka maleńka próba miałaby silniejszą wymowę od wszystkich wieców razem wziętych.

Od czego mamy Gdynię?

Czy musimy żywić wrogiego pigmeja?

Rzeczywistość

Jak wynika z komunikatu kupców chrześcijan z Częstochowy — *80% handlu dewocjonaljami znajduje się w rękach żydów.* Zarabiają oni w tej branży zgórą 60 miljonów rocznie!

Któż ma w takim razie aktywnie bronić handlu chrześcijańskiego?



Takie sobie dywagacje

Dobry reportaż i dobry feljeton — są to działy w dziennikarstwie światowem najbardziej cenione przez czytelników — i najlepiej wynagradzane przez praktycznych kierowników pism. Reporter nowoczesny w wielkim stylu — to nie zbieracz „ostatnich wiadomości", skrzętnie notujący wypadki samochodowe, samobójstwa i kradzieże.

Wielki reporter — to człowiek, który rozmawia z monarchami i baletnicami, z ministrami i tenorami, dziś ze słynnym anarchistą, jutro z gwiazdą filmu i królem przemysłu.

Mężowie stanu wiedzą dobrze, że narzekanie na prasę — to tylko z ich strony komedjancka poza. Niechby tak na jakiejś międzynarodowej konferencji prasa całego świata postanowiła nagle zbojkotować uroczystych i nibyto „natrętctwem pismaków" „znudzonych" panów dygnitarzy... Niechby poprostu o danem wydarzeniu politycznem nikt nigdzie nic nie napisał! Jakżeby wtedy panowie dygnitarze zaczęli o względy tej wzgardzonej prasy konkurować... Jakżeby, zdjąwszy maskę obojętności wyniosłej — odsłonili głęboką prawdę: że bez prasy wogóle obejść się dziś niesposób. I że każdemu z nich bardzo, ale to bardzo zależy na tem, aby ukazał się z nim „wywiadzik", rozmowa, czy choćby o jego osobie najprzelotniejsza wzmianeczka.

Otóż to: dziennikarz — naturalnie dziennikarz wysokiej klasy — robi dziś sławę męża stanu, albo też z piedestału „strąca zuchwalca i z olbrzyma robi malca", jak w popularnej bajeczce.

Dlatego mężowie stanu o zasięgu światowym bynajmniej sobie prasy nie lekceważą i starają się jej przedstawić z najlepszej strony i przekonać o słuszności swych poczynań.

Czytelnik pomyśli: „Dlaczego „uparty nurek" nam to wszystko opowiada? Do czego to jest pite?"

Phi... Do niczego...

Tak — „sobie śpiewam" a... chmurom...

O roli prasy w krajach cywilizowanych.

Uparty nurek.

ZOFJA NORBLIN - CHRZANOWSKA

KOBIETY PISZĄ

(Karolina Beylin — „New York w pięć dni")

Nakł. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie

Gdyby Karolina Beylin była angielką albo francuską, stałaby się napewno jedną ze słynnych europejskich dziennikarek globtrotterek, odbywających błyskawiczne przeloty nad kontynentami dla zobaczenia czegoś nowego lub dla przeprowadzenia jednej interesującej rozmowy, aby zdać z niej relację miljonom czytelników. Posiada ona bowiem w wysokim stopniu te zalety, których czytelnik od dobrego reportera wymaga. Ma przedewszystkiem jakieś życzliwe, optymistyczne spojrzenie na świat — ale jednocześnie bardzo trafną spostrzegawczość, przez co reportaże jej wiążą się mocno z rzeczywistością. Ma wszechstronne zainteresowania, pozwalające jej ogarniać i referować rzeczy widziane z dziedzin bardzo rozmaitych. Ma wiele humoru i szczyptę sentymentu, łatwość towarzyską i znajomość kilku języków, lekkość pióra przy całkowitej poprawności stylu — słowem ma wszystkie dane na doskonałego reportera w europejskiem, szerokiem znaczeniu tego słowa. Pracuje jednak w Polsce — dlatego zbyt rzadko nadarza jej się sposobność wykazania wszystkich swoich możliwości.

Inauguracyjna podróż M. S. „Piłsudski" do Nowego Yorku stała się dla Karoliny Beylin jedną z tych rzadkich sposobności.

Znana dziennikarka zaproszona została w podróż inauguracyjną statku polskiego „Piłsudski". Literaci i dzienikarza chętnie są widziani jako goście w imprezach tego rodzaju: wiadomo, że żaden „nie wytrzyma" — i tak czy inaczej potomności swoje wrażenia, słowem drukowanem uwiecznione, przekaże. Zwykle bywa to jedna lub dwie korespondencje, reasumujące uroki życia na pokładzie. Karolina Beylin nie ograniczyła się jednak do osobistych zachwytów nad doskonałością urządzeń naszego transatlantyku. Postanowiła odważnie zobaczyć w swej podróży jak najwięcej — zobaczyć co się da w Nowym Yorku w pięć dni — i tak powstała jej interesująca książka.

Zaznaczyć trzeba odrazu, że autorka dowiodła tu niezbicie, że ma nieprzeciętne dane na reportera wysokiej klasy.

Zdumienie ogarnia czytelnika, gdy sobie uprzytomni, że to wszystko, co autorka referuje na przestrzeni stu kilkudziesięciu stron swej książki — a referuje bez rozwodnień, w maksymalnych skrótach, — że to wszystko ta drobna, żywa kobietka zdążyła zobaczyć w największem mieście świata w przeciągu — pięciu dni. Naturalnie, że te pięć dni rozszerzyła sobie Beylinówna w sposób nader przemyślny, a dziennikarzom naogół dobrze znany: mianowicie skasowała podczas pobytu w New Yorku — sen. Chłonęła i poznawała to miasto pełne dziwnych rzeczy — dosłownie dniem i nocą. Że jej starczyło sił i werwy, że jej się przy tym wyczerpującym systemie nie stępiła ani spostrzegawczość, ani wrażliwość — to właśnie jedna z tajemnic rasowego dziennikarza, umiejącego, gdy trzeba, pracować z intensywnością, jakiej inne zawody wogóle nie podejrzewają.

Autorka wzięła sobie za zasadę unikanie „poetycznych" opisów, nastrojów i osobistych wynurzeń. Wie ona doskonale, że czytelnika dzisiejszego mało obchodzi, jak autor X czy Y reaguje na zachód słońca albo na wschód księżyca. To też, wbrew ogólnej skłonności kobiet piszących do wysuwania swego „ja" na plan pierwszy — Karoliny



Postój samochodów na ulicy w New Yorku.

Beylin w tym wielkim Nowym Yorku raczej musimy się doszukiwać. Pisze o tem, co widzi, ale nigdy o sobie.

Nie znaczy to wcale, aby „New York w pięć dni" był zbiorem tylko suchych notatek i zdarzeń. Wjazd do portu w Nowym Yorku, entuzjastyczne przywitanie rodaków, widok miasta z drapacza chmur w nocy — to są fragmenty, w których odnajdujemy nietylko fakty, ale i wzruszenia autorki. Zawsze jednak pełne umiaru, umiejętnie trzymane na wodzy i chemicznie wyprane z bombastycznego patosu.

Reportaż Karoliny Beylin różni się tem od wielu innych, jakie się ostatnio ukazały, że autorka patrzy na obcy sobie teren z całą bezstronnością, z najżywszem zaciekawieniem — ale *bez żadnego parti-pris*. I podaje szereg drobnych napozór obserwacji, jakby od niechcenia, bez wiązania ich w jakąś konkludującą całość. Wnioskowanie pozostawia samemu czytelnikowi — i ma rację. Nie chcemy, żeby nam narzucano opinje. Chcemy tylko być w interesujący sposób — poinformowani. A informacji — i to ciekawych — Karolina Beylin nie skąpi.

Więc odrazu na wstępie dowiadujemy się np., że w Holland-Tunell, łączącym port Nowego Yorku z miastem, policjanci pilnują, aby nikt nie jechał... *zbyt wolno!* Zabroniona jest jazda poniżej 40 kilometrów na godzinę. Żeby nie tamować ruchu. Drobiazg. Ale już jest jaskrawo określone tempo życia.

Hotel nowojorski — szereg niespodzianek. Więc chociażby to, że pokoje na górnych piętrach są droższe, a na dolnych tańsze (bo mniej światła). Jakże to wywraca do góry nogami zaściankowe, zatęchłe przesądy Warszawy, gdzie „wypada" do dnia dzisiejszego mieszkać na 1-em albo 2-em piętrze, a piąte piętro (z windą) uważane jest dotąd za ekstrawagancję. A dalej: w hotelach nowojorskich niema dzwonków na służbę: polecenia wydaje się... przez telefon. Służby się wogóle nie widuje — mimo to wszystko jest zrobione dokładnie i w porę. I nikt przy wyjeździe nie wyciąga łapy po napiwek. (Myślimy sobie: cóż za raj po Europie, a zwłaszcza po Polsce, gdzie służba szwęda się po korytarzach w ilości nadmiernej, ale zato obsługa pozostawia wiele do życzenia. Natomiast napiwki, pomimo nominalnego skasowania, nietylko są przyjmowane, ale wręcz wymagane)...

A gdy wraz z Karoliną Beylin wyjdziemy z hotelu na ulice Nowego Yorku, które niby tak dobrze znamy z amerykańskich filmów — co krok ujrzymy coś charakterystycznego, co autorka skwapliwie notuje. Zobaczymy więc, że sklepy i lokale wszelkiego rodzaju otwarte są w tem mieście przeważnie dniem i nocą. Jak oni to łączą z „prawami ludu pracującego", które u nas surowo karzą ludzi, chcących pracować dłużej — tego już nie wiemy. Fakt pozostaje faktem — i daje, przyznać trzeba, wiele do myślenia.

To, że szklanka wspaniałego soku ananasowego kosztuje na ulicy 25 groszy — też wywołuje westchnienie zazdrości. Dowiadujemy się dalej, mimochodem, że każda prawie taksówka w Nowym Yorku zaopatrzona jest w radjo. Pyszny obrazek: *„Na rogach ulic na postojach taksówek stoją gromady ludzi z głowami wewnątrz wozów"* (Słuchali — przbiegu meczu bokserskiego Louis — Baer).

Przeżywamy wraz z autorką wieczór na ulicach Nowego Yorku po zwycięstwie murzyna. I zwiedzamy z nią dzielnicę żydów polskich. I ulicę z sukniami ślubnemi. I wchodzimy za nią na świetne śniadanie do ...apteki, gdzie dostać można oprócz lekarstw wszystkiego, czego dusza zapragnie.

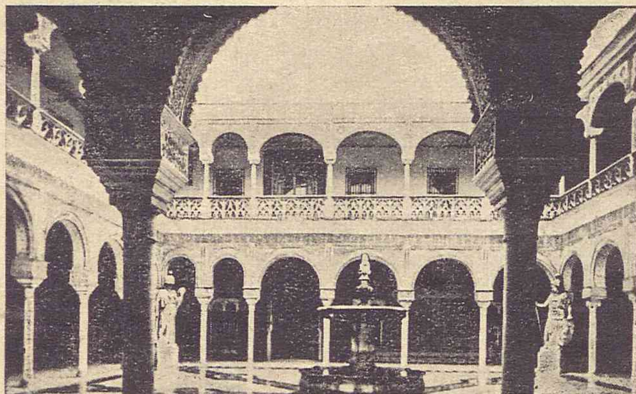
I rozmawiamy z ludźmi pracy, aby się dowiedzieć dokładnie, ile zarabia sprzedająca w sklepie, ile dziennikarz, ile właściciel sklepu z kuframi, a ile restaurator. I jak sobie radzą bezrobotni i ile kosztuje w Nowym Yorku życie.

Podchwytujemy odcień rozrzewnienia, gdy Beylinówna rozmawia z ludźmi, którzy tu przybyli z Polski przed laty i tej Polski do dnia dzisiejszego nie zapomnieli. I podoba nam się ten polak, właściciel fabryki posadzek, który mówi, że musi dla syna znaleźć *„polską facetkę na żonę"*. Bo — *„z tutejszemi nie chcę, żeby się żenił. Z niemi można najwyżej „parkować"*. („Parkować — to znaczy w miejscowej gwarze wyjeżdżać samochodem za miasto i zatrzymać się gdzieś w pięknem ustronnem miejscu, objaśnia autorka).

Znów inna gama wrażeń: Bibljoteka Publiczna w Nowym Yorku. Kilka liczb: *„z tego wielkiego gmachu wychodzi rocznie koło czternastu miljonów książek, wypożyczonych ludziom z miasta, nie licząc miljonów, przeczytanych na miejscu"*. A cóż za zastanawiający obrazek: czytelnia tej bibljoteki — na otwartym skwerze miejskim. Ludzie czytają masami — i nikomu do głowy nie przyjdzie, że mógłby stąd książkę — ukraść... I jeszcze wspaniały, jedyny w świecie dział dla niewidomych. I największy na kuli ziemskiej dział teatralny — ([illegible]0 tysięcy skatalogowanych i opracowanych sztuk teatralnych). I fantastyczna wypożyczalnia ilustracji, wypożyczająca 3 tysiące sztuk dziennie... Cóż za nieznany, a piękny świat!

A dalej oglądamy wraz z autorką redakcje nowojorskie, gazety, bijące 2 i pół miljona egzemplarzy, i wielkie kina, które grają niemal przez całą dobę i Luna Park i sąd nocny, który sądzi na gorąco każde przestępstwo (z wyjątkiem zbrodni) popełnione od 7 wieczór do 7 rano. (W ciągu półtorej godziny siedem spraw). I dzielnicę murzyńską, gdzie na szyldzie salonu kosmetycznego czytamy: *„Tu się rozprostowuje kędzierzawe włosy"*. I widok z setnego piętra najwyższego gmachu na świecie. Mnóstwo osobliwości poznamy z tej książki, pisanej żywo, łatwo, z humorem i, mówiącej nam o rzeczywistości Nowego Yorku więcej, niż grube tomy ciężkich, ekonomicznych rozpraw.

Można nie znosić Ameryki, choć się jej nie zna. Ale przyznać trzeba, że po przeczytaniu książki Karoliny Beylin przychodzi ochota przejechać się do tego Nowego Yorku, no choćby tylko na pięć dni. To już niezaprzeczony tryumf autorki, to dowód, że swym doskonale napisanym reportażem potrafiła wzbudzić żywe zainteresowanie.



Sewilla. Casa de Pilatos

TADEUSZ WITTLIN

ZOBACZYĆ SEWILLĘ — I ŻYĆ!

— Podobno był pan w Sewilli — zwróciła się do mnie pani domu, gdy wyczerpał się temat o pogodzie, o tem, że czereśnie są w tym roku tańsze, niż w zeszłym i że picie nieprzegotowanej wody jest zdradliwe. — Niechże pan opowie nam coś o tej Sewilli.

— Ach! Ach! Sewilla, miasto miłości! — Klaszcząc w dłonie zawołała panna Giga sądząc, że jest wyjątkowo dowcipna.

— Może pan śmiało zastrzelić tę idjotkę — szepnął mi do ucha sędzia P. — Zabójców takich kobiet sąd uniewinnia.

Nie skorzystałem z miłego zaproszenia, poprzestając jedynie na lekkiem podbiciu panience prawego oka przy pomocy wazonika z lewkonją, poczem rozpocząłem:

— Sewilla jest bezsprzecznie jednem z najpiękniejszych i najbardziej kolorowych miast na świecie. Nie będę jednak zanudzał państwa ani opisem wspaniałego Plaza de Espane z marmurowym pałacem, o jakim nie śniły nawet królewny, w bajkach, ani równie starał się opowiedzieć o niesamowitym przepychu olśniewającego Alcazaru, tonącego w ogrodzie, którego żadne pióro nie opisze, żaden Underwood nie wystuka i żadna fantazja choć w części nie wyimaginuje, ani o przytłaczającej potędze Katedry, w której cztery nadnaturalnej wielkości postacie niosą trumnę z prochami Krzysztofa Kolumba — o tem wszystkiem bowiem każdy może przeczytać w pierwszym lepszym Baedeckerze.

Natomiast dzięki temu, że zwiedzałem stolicę Andaluzji, bynajmniej nie rozjeżdżając auto-carami Cooca, lecz szedłem wszędzie incognito, w teren, w lud, na inspekcję, jakby powiedział pewien minister, zdobyłem cały szereg oryginalnych odkryć i spostrzeżeń, jakiemi niekażdy turysta może pochwalić się.

Ledwo postawiłem stopę na pięknej mozaice z drobnych kamieni, stanowiącej zresztą zwykły chodnik każdej ulicy Sewilli, gdy otoczyło mnie kilku umorusanych uliczników i dalejże wykrzykiwać:

— Carioca! Carioca signor duepessos! Carioca signor!!!

Jednocześnie pchali mi pod nos jakoweś nędzne krawaciska, które na pierwszy rzut oka robiły wrażenie fenomenalnej lichoty.

Z trudem opędziłem się natrętom.

Później jednak, gdy z tym samym bojowym okrzykiem „Carioca duepessos signor!" wypadano na mnie na ulicach innych miast: Cadix'u, Porto Santa Maria, San Fernando, San Nicolaus i wszystkich innych świętych, stwierdziłem, że zachwalane mi wąskie szmatki na szyję, posiadają specjalną właściwość. Mianowicie „carioca" to bynajmniej nie modny taniec, w którym występująca para zderza się głowami, lecz charakterystyczny hiszpański krawat, nabijany srebrnemi blaszkami w kształcie gwiazdek, prostokątów, czy półksiężyców, zaś owo dziwnie brzmiące „dupessos" — to dwa pesety czyli cena tego cuda.

Inna kwestja, że jak Hiszpanja długa i szeroka nie spotkałem nigdy ani jednego krajowca w takim krawacie, aczkolwiek Hiszpanie — przesadni eleganci, nigdy bez krawata nie pokażą się. Choćby panował tropikalny upał, barwny krawat musi dopełniać męskiego stroju. Wprawdzie związany jest bardzo luźno i nisko, czyli „opuszczony do połowy masztu", ale bezwzględnie jest!

Że całe życie andaluzyjskiego miasta koncentruje się na ulicy, bądź w licznych „ventach" czyli knajpach, o tem wie każdy, ale że poduszki to są właściwie długie, wąskie i djablo twarde wałki, wie tylko ten, kto może snobować się, że spał w autentycznym hiszpańskim hotelu.

Tak pętaki! Niech wam się nie zdaje, że rozmawiacie z byle kim! — zawołałem w nagłym porywie, uderzając pięścią w stół.

Gdy obecni zapewnili mnie, że słuchają mych słów z największym szacunkiem, uspokoiłem się, poczem nieznacznym ruchem wsunąłem do kieszeni srebrną łyżeczkę i podjąłem przerwaną opowieść.

— Drugą odrębnością hiszpańskich hoteli jest to, że nie czyszczą w nich obuwia.

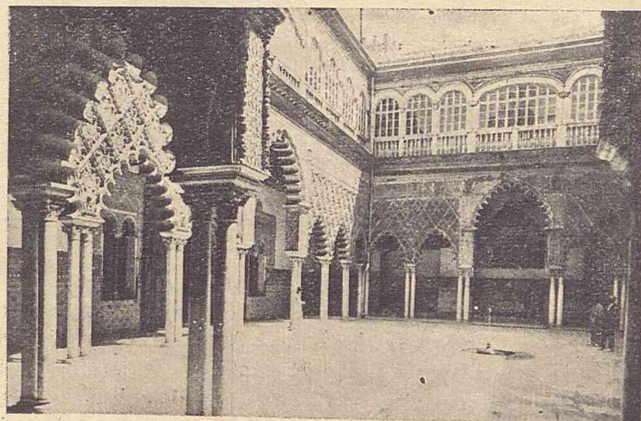
Gdy rano wysunąłem przez drzwi owłosioną rękę, by zabrać moje buciary, znalazłem je taksamo dokładnie zakurzone, jak je wystawiłem z wieczora.



Sewilla. Plaza de Espana.

Wezwany portjer objaśnił mi, że na czyszczenie obuwia posiadają wyłączny monopol uliczni pucybuty.

A no trudno. Za to ledwo wyszedłem na miasto i wstąpiłem na śniadanie do jednej z kawiarń, wnet wbiegło za mną kilku małych chłopaków z przewieszonemi przez plecy pudełkami, pełnemi szczotek, past i ścierek, ofiarując mi swoje usługi. Za kilka miedziaków z podobizną króla Alfonsa, który do dziś dnia jest obiegowy w tej komunizującej republice, wyglansowane sztyblety zaświeciły się, niczem latarnia morska.



Sewilla. Alcazar. Patio de las Doncellas.

Na śniadanie podano mi prócz wyjątkowo podłego, woniejącego naftą wina, kilka jakichś nieznanych obcym, miejscowych przysmaków. Byłoby to może nawet i niezłe, gdyby nie pachniało przesadnie czosnkiem i cebulą. Do wszystkich bowiem potraw, hiszpański kucharz wali przedewszystkiem: oliwę, czosnek i cebulę. Doprawdy! Hiszpanie w średniowieczu istotnie musieli być wyjątkowo okrutnym narodem, skoro posiadając tak wielką sztukę przyrządzania pod przeróżnemi postaciami czosnku i cebuli, wypędzili jednocześnie ze swego państwa wszystkich Żydów.

Po jedzeniu zażądałem herbaty. Pięciu kelnerów nie wiedziało, czego domagam się. Dopiero właściciel kawiarni domyślił się i przyniósł mi „tee" w maleńkiej filiżance od czarnej kawy.

Oczywiście filiżanek takich wypiłem tuzin, czem wywołałem ogólną sensację nietylko wśród służby, lecz i licznych gości. Patrzano na mnie, jak na podwórzowego sztukmistrza, pijącego wrzącą wodę.

Przed rozpoczęciem zwiedzania miasta, wszedłem do jednej z niemniej od restauracyj licznych barberyj i kazałem ogolić się. Zrobiłem to nietyle z konieczności, ile dla moich przyszłych wnuków, by mogły kiedyś mówić, że ich dziadka golił prawdziwy „Cyrulik Sewilski".

Tak, proszę państwa! Trzeba myśleć również i o potomności—wtrąciłem uroczyście — Proszę! Niech się pani nie krępuje — zwróciłem się do pani domu — i obierze mi jeszcze jedną pomarańcz. O tak, dziękuję.

— Gdy wyszedłem od golarza — podjąłem nanowo — udając się do wspaniałego Casa de Pilatos czyli pałacu Piłata, otoczyła mnie i nie odstępowała już przez całą drogę czereda małych, kilkuletnich chłopców, proszących natarczywie o papierosa.

Andaluzja — posiada jedynie cygara, natomiast papierosy wyrabiane są z najgorszych odpadków. To też każdy turysta nagabywany jest o „cigarillę", którą molestujące pętaki natychmiast po otrzymaniu zanoszą w triumfie swoim ojcom. Wogóle w Hiszpanji uderza na ulicach wyjątkowo duża ilość małych, obdartych dzieci u boku ubogich rodziców, którzy otaczają je rzucającą się w oczy przesadną miłością.

Wszyscy ci malcy pucybuty, sprzedawcy „carioci", białych kwiatków do włosów, czy cukierków, wciskają przechodniom do rąk losy jakiejś fantastycznej loterji państwowej, na której można rzekomo wygrać miljon pesseтów. Każde dziecko uliczne, każdy stary żebrak, każdy ślepiec pod murem, ma do sprzedania losy tej loterji. Mało tego! W opatrzonym jakże romantycznym napisem: „Senorittas" i „Caballeros" majolikowym, podziemnym szalecie, „babcia" oprócz zwykłych kastek, posiada również ćwiartki loteryjnych losów.

Ponieważ dość nasłuchałem się w życiu o wspaniałym hiszpańskim tytoniu, zaintrygowany tym papierosowym głodem dzieci i dorosłych, udałem się na Avensda de San Fernando, gdzie mieści się słynna Fabrica de Tabacos, w której to ongiś pracowała piękna robotnica Carmen, kochanka urodziwego artylerzysty.

Oto jestem już na miejscu. Za żelaznem ogrodzeniem sztachet kryje się w cieniu niebotycznych palm, fabryka cygar. W pobliżu, gdzie sąsiaduje Cuartel de Artilleria, stoi na warcie młody żołnierz.

Wartownik, niczem żywcem wyjęty z utworu Marinée jest istotnie urodziwym chłopcem, jak zresztą niemal wszyscy, tak liczni w Sewilli żołnierze.

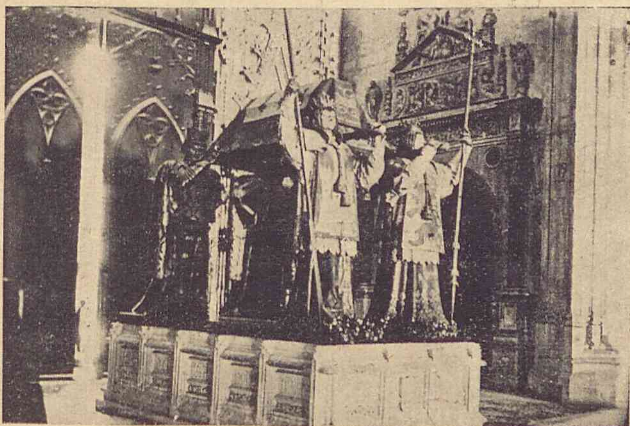
Spojrzałem na zegarek: zbliżała się godzina pierwsza po południu. Postanowiłem zaczekać i ujrzeć wychodzące robotnice.

Z bijącem ze wzruszenia sercem, że oto zobaczę w naturalnej inscenizacji operę Bizetta, stałem w skwarze andaluzyjskiego słońca.

Wreszcie rozlega się przeciągłe wycie fabrycznej syreny... A więc za chwilę wybiegnie gibka, jak trzcina Carmen, wszystko jedno, ta czy inna bezimienna, piękna robotnica...!

Oto otwierają się ciężkie wrota i... Rrrrr-rrany Boskie!!!

Na ulicę wywala się stado starych, bezzębnych grubych babsztylów, z których najmłodsza liczy najmniej pięćdziesiąt wiosenek bez świąt i niedziel.



Sewilla. Grobowiec Krzysztofa Kolumba.

Z początku sądziłem, że są to matki rączych pracownic. Później jednak dowiedziałem się, iż słynna fabryka cygar zatrudnia obecnie wyłącznie stare emerytki, które pozostały jeszcze przed wprowadzeniem maszyn. Albowiem wyrób cygar dawno już został całkowicie zmechanizowany. Wprawdzie każda z tych staruch nosi za lewem uchem kokieteryjny biały kwiatek i chłodzi się czarnym koronkowym wachlarzem, lecz szczegóły te zupełnie mnie nie pocieszyły.

Naogół jednak mieszkanki Sewilli są przeważnie więcej niż przystojne. Mają tylko jedno ale. Mianowicie wiele z nich uległo ogólnej modzie „platinblond" i na siłę utleniają sobie włosy. A czarnobrewa Hiszpanka z fryzurą zamienioną w stóg słomy, z którego nierzadko prześwieca krucze pasmo, robi conajmniej dziwne wrażenie.

Oglądam jeszcze Arenę, pomnik Velazquez'a, plac de Santa Cruz, jadąc zwykłą dorożką, zaprzężoną w zwyczajną szkapę. Nietylko bowiem Warszawa może szczycić się tym środkiem lokomocji, ale Sewilla również.

Wreszcie jadę na Guadalquivir i dostrzegam, że niemal wszyscy liczni tu robotnicy portowi noszą żałobę. Czarne paski krepy nietylko mają naszyte na zewnętrznej części rękawów, lecz także na prawej klapie marynarki. Sądzę, że w Hiszpanji ogłoszono jakąś narodową żałobę, dryndziarz jednak wyjaśnia mi, że w niższych sferach żałobę noszą nietylko krewni nieboszczyka, lecz również przyjaciele zmarłego i znajomi osieroconych.

Zapada wieczór. Powracam do miasta. Pośrodku jezdni w najruchliwszym punkcie, gdzie rozjeżdża mnóstwo prywatnych aut, taksówek, tramwajów i dorożek, na maleńkiej kamiennej wysepce skąd policjant kieruje ruchem, stoi oparty o latarnię robotnik i paląc cygaro, spokojnie czyta gazetę. Wybrał sobie to miejsce jako najlepiej oświetlone i przegląda pismo pewien, że swą osobą nie przeszkadza żadnemu z przechodniów.

Sewilla nie posiada wykwintnych nocnych dancingów, ani kabaretów. Jedyny „Cursaal Central Olymphic", to prymitywna drewniana buda, w której śpiewając ochrypłemi głosami wulgarne piosenki, produkują się w negliżu stare, wyaranżerowane prostytutki. Wkrótce więc opuszczam ten nieciekawy i nawet niepodejrzany lokal.

Jest jasna, płonąca szmaragdowemi gwiazdami południowa noc. Strzeliste, wysokie, pokryte majolikowemi ornamentami różowe, zielone i niebieskie domy pochylają się nade mną, przesyłając ukłony dla barwnych kamienic Rynku Starego Miasta Warszawy.

Zdala dobiega tęskne zawodzenie pieśni, jękliwe, monotonne: „Aaaaa!".

Mijam Plac del Salvador i zatrzymuję się zdumiony. W świetlanym kręgu lampy gazowej słabo rozjaśniającym deptak, pomiędzy niebotycznemi palmami, otoczone garstką ulicznych gapiów, tańczą cztery maleńkie dziewczynki. Każda z nich trzyma w dłoniach kastaniety, z których strzela do taktu. Jest to jedyna muzyka, jaką przygrywają sobie do tańca te baletnice, z których najstarsza nie ma sześciu lat.

Przegięte w tył, że włosami zamiatają niemal pył uliczny, wznosząc do góry wątłe ramionka, bądź wspinając się na palce i wirując z zawrotną szybkością, wykonują pas jakiegoś bolera własnego pomysłu, lub improwizują Fandango swego układu.

Tłumnie zebrani, przypadkowi widzowie raz poraz biją im brawo, a małe te, paroletnie tancereczki ślą z pod zawiniętych firanek długich, czarnych rzęs, ciężkie zalotne spojrzenia dorosłych kobiet, bądź kącikami warg rozdają lubieżne uśmieszki wyrafinowanych kokot.

Ten obraz więcej mi uświadomił, że jestem w Hiszpanji, niż liczne, oglądane obrazy Murilla i Velazquez'a.

Nazajutrz o świcie opuszczałem Sewillę, udając się do Cadixu. Z szybkością 100 km. na godzinę pędziłem autem skroś szerokiej Avenida Republica, która jeszcze zaledwie kilka lat temu zwała się Avenida Rei Victoriae.

— Oto moje wrażenia z Sewilli, najpiękniejszego i najbardziej kolorowego miasta na świecie — zakończyłem mą opowieść. — A teraz możecie rozejść się do swych domostw i zazdrościć mi z całego serca.

P. S. Opis wrażeń z Sewilli całkowicie prawdziwy, reszta zaś, to t. zw.: „licentia poetica".

DESZCZ W CZASIE POGODY

W ubiegły poniedziałek panowała — mówiąc stylem komunikatów meteorologicznych — pogoda słoneczna, o zachmurzeniu niewielkiem. Mimo to spadł deszcz i to obfity.

Myliłby się wszakże ten, ktoby uważał zjawisko to za coś niezwykłego; przeciwnie: powtarza się ono z całą regularnością co miesiąc, różniąc się tylko obfitością „opadów". Bo nie jest to zwykły deszcz, przed którym ludzie chronią się pod dach, lub parasol. Deszcz ten — to liczne wygrane, które padają w ciągnieniach Loterji Państwowej, a ilość ich zależna jest od klasy tej Loterji.

Właśnie 20-go bm. przypadał ostatni dzień ciągnienia drugiej klasy trzydziestej szóstej Loterji W dniu tym wylosowane były nietylko dwie główne wygrane po sto tysięcy złotych, oraz stała dzienna wygrana, ale i te spośród większych wygranych, które pozostały jeszcze w kole. Ostateczne wyniki ciągnienia przedstawiają się więc jak następuje:

Po sto tysięcy złotych wygrały numery 97034 w Łodzi i 136803 w Poznaniu, a właściwie w tamtejszej filji jednej z kolektur warszawskich. Pięćdziesiąt tysięcy i dwadzieścia pięć tysięcy złotych przypadły Krakowowi na numery 56840 i 64746; we Lwowie wreszcie sprzedany został nr. 170678, na który padła wygrana dwudziestu tysięcy złotych.

Jak widzimy był to naprawdę „deszcz" wygranych, deszcz, który napewno nikomu humoru nie popsuł. Kto chce mieć szanse, by go podobny deszcz zrosił w przyszłym miesiącu, niech nie zapomni odnowić losu do trzeciej klasy, której ciągnienie rozpoczyna się trzynastego sierpnia br.

PRASA Z CAŁEGO ŚWIATA

Fernand de Brinon o Gdańsku

(Podajemy ciekawy artykuł jednego z czołowych publicystów francuskich, omawiającego politykę zagraniczną między innemi i w tyg. Marianne).

„Minęło zaledwie trzy tygodnie od chwili, gdy p. Greiser oświadczył publicznie członkom Rady Ligi Narodów, zebranym aby usłyszeć jego usprawiedliwienie, że od tej pory nie będzie on się liczył z ich autorytetem, postępując według swego widzimisię. Dodał jeszcze, że nie będzie sobie zadawał fatygi ukazywanie się w Genewie. Obecnie przeszedł on już do czynów! Powołując się na rację stanu i troskę o ład publiczny, ogłosił on przepisy policyjne, znoszące faktycznie prawa opozycji. System surowego nadzoru został zainstalowany w Gdańsku bez zasięgnięcia zgody Wysokiego Komisarza, obowiązanego do przestrzegania wypełniania statutu Wolnego Miasta. Zanim nawet p. Lester miał czas zawiadomić sekretarjat Ligi, oficjalna ajencja niemiecka podała wiadomość o wydarzeniu. Chociaż dzienniki Rzeszy postarały się nie nadawać temu wydarzeniu charakteru sensacji, to jednak nikt nie może wątpić, że zwycięzcy z 1918 r. postawieni zostali wobec nowego faktu dokonanego przeciw traktatom.

Jest to zupełnie w porządku. Byłoby dziecinadą dziwić się, skoro p. Greiser jaknajprzykładniej uprzedził Ligę Narodów. Byłoby jednak zbędne okazywać nadmierny niepokój. Między wypowiedzeniem klauzul wojskowych traktatu wersalnego dokonanem w marcu 1935 r., odrzuceniem traktatu Lokarneńskiego w marcu 1936 i zarządzeniami policyjnemi Senatu w Gdańsku — nie może być porównania.

Wczoraj było to zakwestjonowanie całkowitego bezpieczeństwa mocarstw zwycięskich w 1918 r. Dziś chodzi tylko o koncepcję jaką sobie stworzył rząd polski o swym interesie. Odkładając na bok prestige instytucji genewskiej, chodzi o to, czy porozumienie polsko - niemieckie z 1934 r. da się pogodzić z postępowaniem p. Greisera? Do tego sprowadza się zagadnienie.

W gruncie rzeczy pertraktując i aprobując traktat Hitler — Lipski Polska w praktyce zrzekła się gwarancji prawa międzynarodowego. Ustaliła ona swe stosunki z Niemcami nie na Lidze Narodów, nie na sojuszu z Francją z 1921 r. lecz na dwuch podstawach: poczuciu bezpieczeństwa, jakie czerpie ze swej własnej siły moralnej i fizycznej i na zaufaniu do Niemiec. Korytarz gdański i statut Wolnego Miasta stworzone zostały w jej interesie nie bez sprzeciwów i oporu. Jej więc rzeczą jest ich obrona. Mam wrażenie, że nikt nie zaryzykuje resztek autorytetu Ligi Narodów w złym procesie. Nie należy — mówił Henry de Jouvenel, podczas swych rokowań o pakt czterech, — być bardziej czechosłowakiem niż p. Benesz, bardziej polakiem niż p. Beck. Byłoby dziś szaleństwem być bardziej przeciw Niemcom, niż sama Polska.

Kiedy się bada politykę niemiecką od roku 1918, trzeba zawsze nawracać do Stresemana. Był on jej wielkim inicjatorem. Ponieważ nie rozporządzał on wówczas mieczem wykutym w ciągu trzech lat przez Hitlera, szedł on drogą małych zdobyczy. W roku 1927-ym podsumowując w swych codziennych notatkach rezultaty osiągnięte w Genewie, wyraził się w sposób następujący: „Usunięcie korytarza drogą wojny jest rzeczą niemożliwą: brak nam siły. Trzeba więc liczyć się z retrocesją za pomocą środków pokojowych, zagadnienie to interesuje całą Europę. To rozwiązanie jest możliwe tylko przez kontynuację polityki Lokarna i przez ścisłe porozumienie Berlina, Londynu i Paryża. Żywa potrzeba pokoju istnieje w Anglji, wzmocniona przez jej trudna sytuację socjalną i gospodarczą.

Trzeba posiadać cel i postępować metodycznie. W 1813 r. Prusy zagrały stawiając wszystko na kartę Rosji. Ale Wersal jest gorszy niż Tylża. Pozostaje więc nam tylko jeden środek: piłować łańcuchy. Inne narody muszą iść z nami dzięki ich interesowi osobistemu, ale my zobowiązani jesteśmy płacić za ich ustępstwa. Przed Lokarnem Poincaré uważał, że termin ewakuacji jeszcze nie nadszedł. Teraz możemy liczyć, że wycofanie wojsk nastąpi przynajmniej w terminie przewidzianym w traktacie Wersalskim. W Lokarno uzyskaliśmy zniesienie komisji kontroli i inwestygacji. Sprawa ewakuacji Nadrenji postawiona będzie w przyszłym roku. Co się zaś tyczy innych żądań Niemiec, zrealizujemy je wyrywając mocarstwom bez gwałtu następne ustępstwa."

*

Swój znamienny i dający do myślenia artykuł o Gdańsku wybitny publicysta francuski kończy cytatami Stresemana.

Pozwalamy sobie powtórzyć końcowe zdanie.

Zdanie Stresemana z 1927 roku!

„Co się tyczy innych żądań Niemiec zrealizujemy je wyrywając mocarstom bez gwałtu następne ustępstwa."

Gdybyż międzynarodowi politycy, ministrowie spraw zagranicznych WIĘCEJ CZYTALI!

Pamiętniki Stresemana lepsze są często od tajnych, supertajnych raportów placówek. Wystarczy, co jakiś czas, podobne wspomnienia *przewertować ponownie* i sprawdzić, co już zrealizowano! Co już „bez gwałtu", pokojowo wydarto. Streseman— nie miał miecza Hitlera. Ale Streseman wytknął linję.

PRZYGOTOWANIA OLIMPIJSKIE

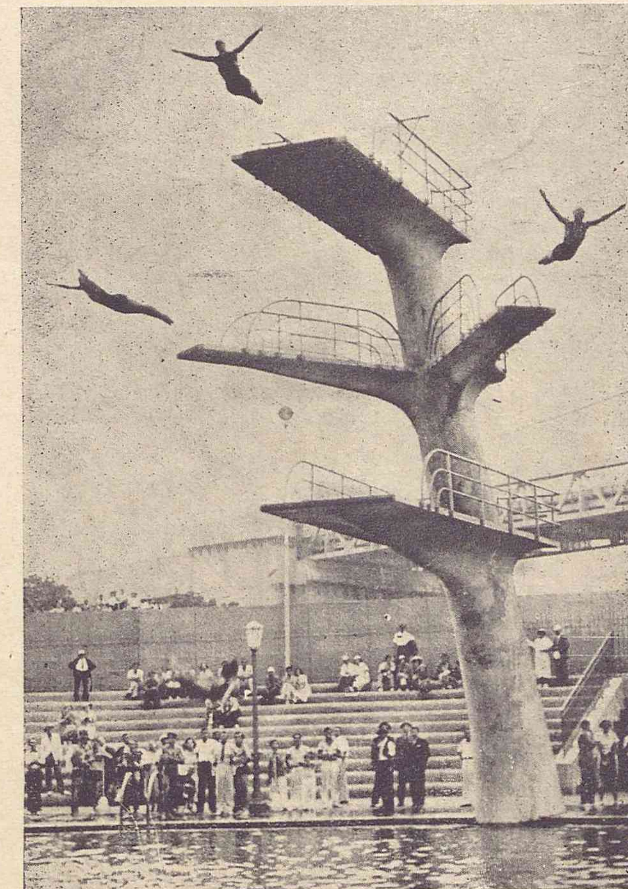


Lekkoatleci włoscy podjęli już trening w wiosce olimpijskiej. Nasza ilustracja przedstawia grupę sportsmenek Italji w miłej rozmowie z pływaczką australijską Kitty Mackay.



MISTRZOWSKA DRUŻYNA PŁYWACZEK AMERYKAŃSKICH

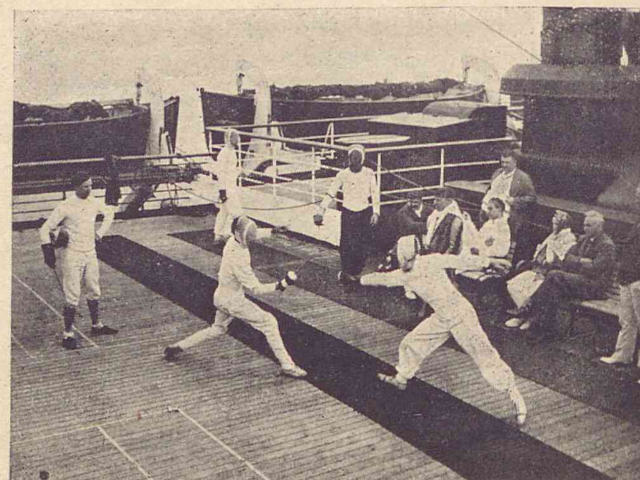
Od lewej do prawej siedzą na trampolinie mistrzynie pływania: Navis Freeman, Eleanor Holm-Jarrett, Lenore Knight-Wingard, Claudia Eckert i Iris Cummings, z których, jak wiadomo Eleanor Holm została wykluczona z drużyny olimpijskiej za nadużywanie... szampana.



Reprezentantki U. S. A. w skokach wieżowych w zespołowej „jaskółce" z 10 m. w basenie Astoria w New-Yorku

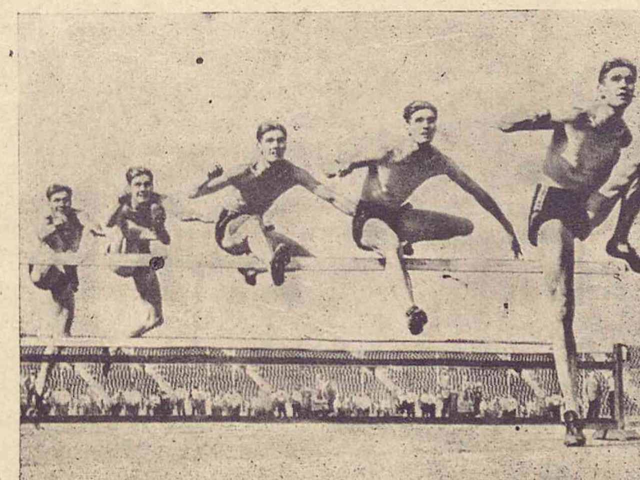
Cornelius Johnson osiągnął na zawodach w Randalls-Island 2,07 m., bijąc wraz z równie czarnym Abbrittonem rekord światowy w skoku w zwyż.

SZERMIERZE TRENUJĄ

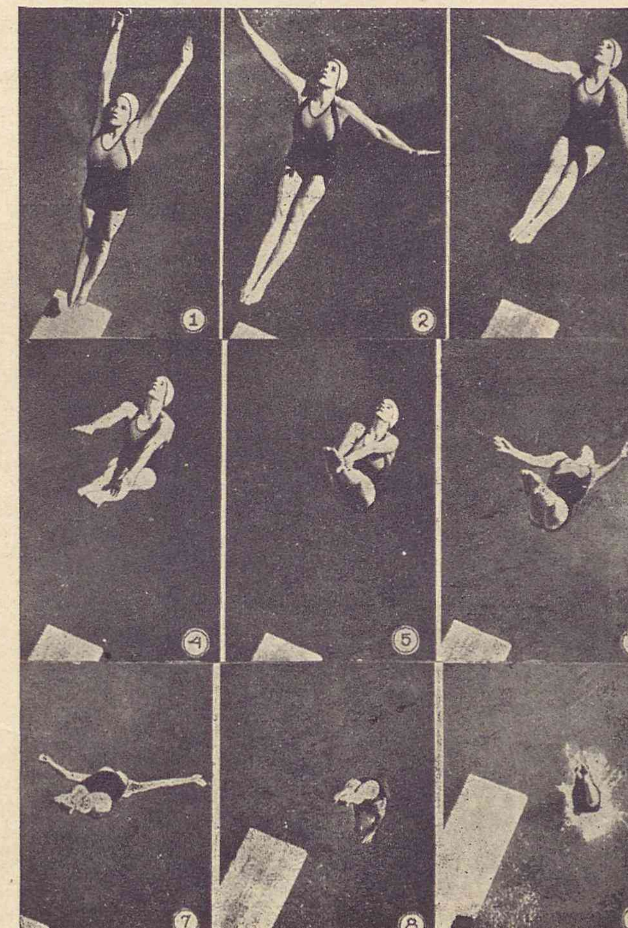


Amerykańska olimpijska drużyna szermiercza podczas podróży trenowała systematycznie na pokładzie s/s „Manhatten"

110 M. PRZEZ PŁOTKI



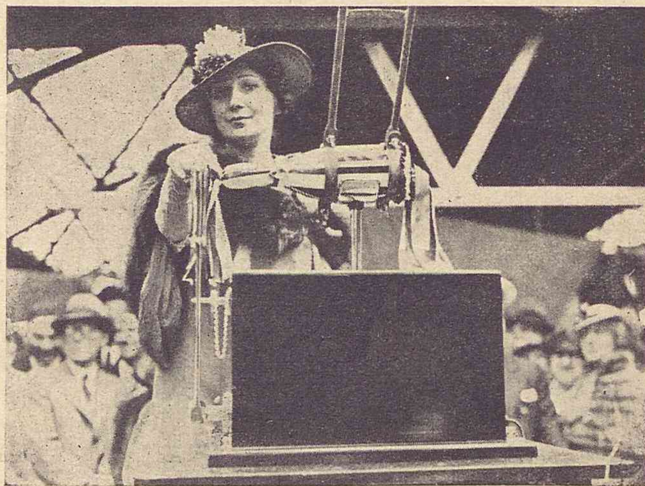
Płotkarz amerykański w pięciu fazach skoku przez płotek



Marion Mansfield — pływaczka amerykańska w pięknem salcie z trampoliny

„GROM" DLA OBRONY POLSKIEGO MORZA

(Korespondencja własna „Świata")



Małżonka konsula polskiego w Londynie, pani Wanda Poznańska w roli matki chrzestnej „Gromu".

Isle of Wight, 21.VII.36

Malownicza wyspa Wight jest położona tylko o niespełna godzinę drogi lotem od Londynu. Święcono tam właśnie „dzień polski" z okazji wodowania naszego torpedowca „Grom", pierwszego z serji budowanych przez znaną angielską stocznię wojskowych jednostek J. Samuel White Co Ltd.

Wczesnym rankiem poleciałem tam, by przybyć przed specjalnym pociągiem, który wyruszył z Londynu, wioząc ze sobą ćwierć tysiąca zaproszonych dostojników ze wszystkich zakątków Wielkiej Brytanji, reprezentujących wojskowy, polityczny i przemysłowy świat angielski. P. konsul Karol Poznański reprezentował rząd Rzeczypospolitej, a sympatyczna i miła jego małżonka p. Wanda Poznańska z godnością wystąpiła jako matka chrzestna „Gromu".

Kiedy goście zebrali się na specjalnie przygotowanej platformie w stoczni, przy dźwiękach polskiego i angielskiego hymnu narodowego, p. Wanda Poznańska rozbiła tradycyjną butelkę szampana o kadłub „Gromu", dając znak jednocześnie puszczenia ostatnich zapor. Krótka modlitwa i poświęcenie poprzedziło wodowanie, w czasie którego jakby na dobry „omen" słońce wyszło szerokim strumieniem z zachmurzonego przez cały ranek nieba. Cicho, spokojnie spłynął „Grom" do morza. Znać było wzruszenie na twarzach tych wszystkich uczestników, którzy zdawali sobie sprawę co dla Polski znaczy ten pierwszy, potężny obrońca naszych skromnych brzegów nad Bałtykiem.

Moment ten bardzo trafnie podkreślił nasz konsul Poznański zebranym dostojnikom angielskim, podczas wielkiego bankietu, jaki wydano na cześć pomyślności „Gromu". Przypomniał on jednocześnie b. ciekawe porównanie z opowieści Kiplinga „W dżunglach" o lasach, zamieszkałych przez zwierzynę różnego gatunku, żyjących obok siebie w bliskiej intymności. Tam potężny niedźwiedź, krwiożerczy wilk, piękna, ale bezsilna sarna, kroczą temi samemi ścieżkami. Na szczególne jednak z pośród nich wyróżnienie zasługuje cichy i spokojny jeż, nikomu w drogę niewchodzący, ale także i niepozwalający innym sobie w drogę wchodzić— zawsze gotów do obrony. Mały wróg czy duży — jeż go się nie boi, nie ucieka przed potężnym i nikt go nie zaczepia, gdyż każdy z sąsiadów dobrze wie, że jeż swoimi ostremi kolcami, nikogo sam nie atakując, zawsze każdą agresję odeprze. Podobną pozycję w „lesie europejskim" zajmuje Polska i jej nowo wodowany „Grom" jest właśnie jednym z tych ostrych kolców, które potrafią każdego zuchwalca przywrócić do przytomności.

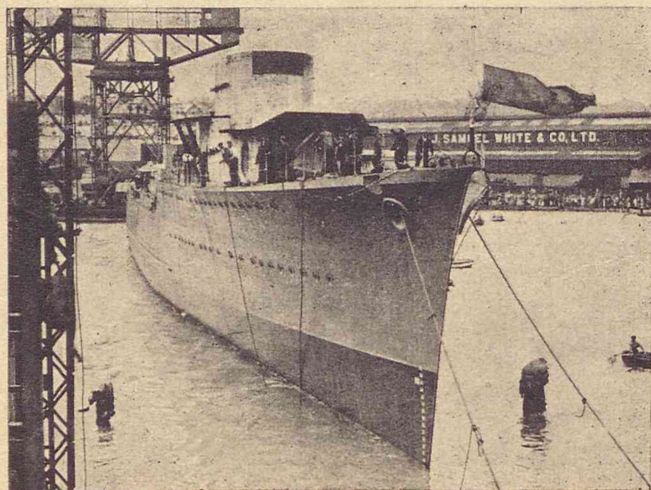
„Grom" jest to nielada kolec, gdyż, jak się dowiadujemy z ust samego prezesa stoczni, jest on torpedowcem w tej kategorji o najwyższej jakości i najlepszej konstrukcji, jakim żadne inne państwo nie może się poszczycić i nawet marynarka angielska podobnie silnego leadera flotylli wojennej w tej kategorji nie posiada dotychczas. „Grom" więc, tak jak i jego siostra „Błyskawica", która czeka na wykończenie, dopóki ludzie nie rozpętają burzy waśnią, nie grzmić, ale świecić będzie innym przykładem pierwszeństwa. Istotnie w swej kategorji są one dotychczas niewyprzedzone tak szybkością i masywnością konstrukcji, jak i nowoczesnością ekwipunku i działami, które na nich wkrótce będą umieszczone.

Oddając budowę torpedowców naszych starej doświadczonej stoczni angielskiej, która już przed rozbiorami Polski budowała dla British Navy potężne jednostki, uczyniono rozsądnie, gdyż jak słusznie zauważył przy toaście na cześć prezydenta R. P. ambasador angielski sir Howard William Kennard, najmłodsza polska marynarka wojenna chrzest swój przyjmuje u najstarszej i bodajże najpotężniejszej marynarki wojennej angielskiej, w ten sposób zbliżając oba kraje jeszcze jednem potężnem ogniwem przyjaźni.

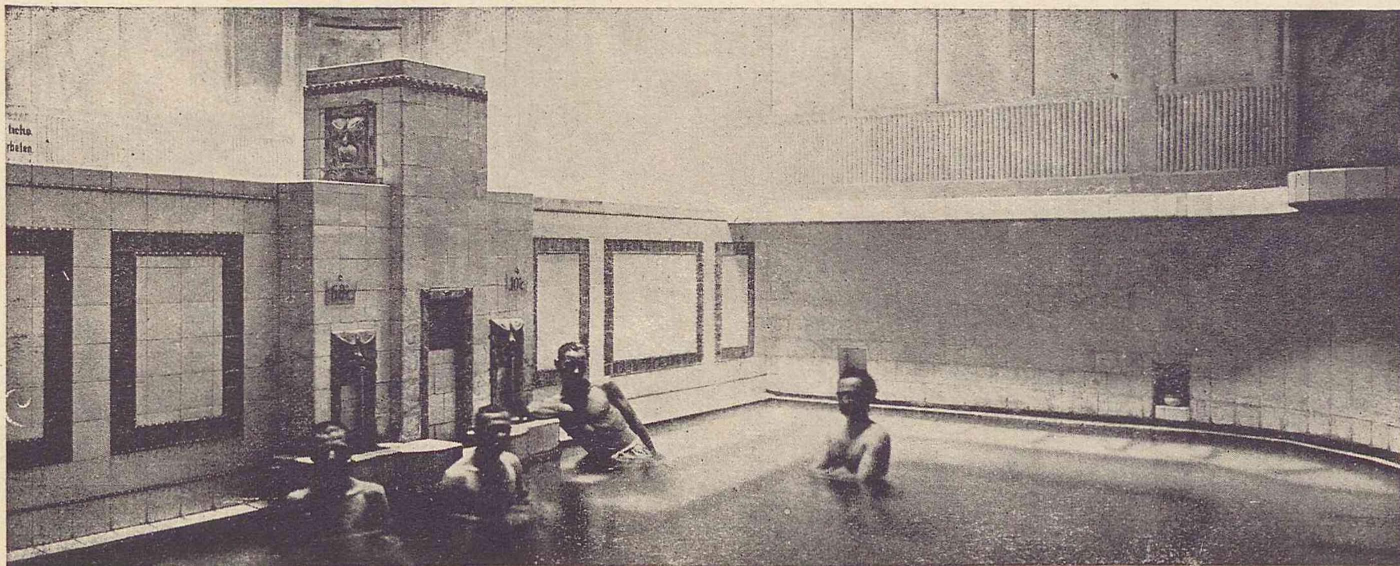
Zresztą Anglja jest najlepszym polskim klijentem z punktu widzenia czysto handlowego, zamówienie zatem torpedowców polskich tutaj jest więcej niż zrozumiałe. Stosunki polsko - angielskie, tak polityczne jak i handlowe, mogą tylko na tem zyskać, gdyż zasobna Anglja, sprzedając więcej do Polski, tem chętniej będzie nabywać polskie towary, które po latach wysiłku ze strony naszego eksportera, zdobywają sobie na rynku angielskim niepoślednie miejsce. Solidność zaś angielskiego rynku nabywczego jest cennym dodatkiem do niezmiernej jego chłonności.

Z narodami tak jak z ludźmi: nie wystarczy się kochać — trzeba jeszcze się rozumieć i ze sobą współpracować.

J. J. Pełczyński



Kontrtorpedowiec „Grom" w chwilę po spuszczeniu na wodę.



Basen zwierciadlany mułowo-siarczany w łazienkach „Irma" w PISZCZANACH.

PISZCZANY

Rękojmia zdrowia i tężyzny fizycznej

„ZDROWE JEDNOSTKI — TO ZDROWE SPOŁECZEŃSTWO". W myśl tej zasady tygodnik „ŚWIAT" organizuje 2-gą skolei 21-o dniową wycieczkę kuracyjną do zdrojowiska

PISZCZANY

Licząc się z możliwościami urlopowemi i materjalnemi szerokiej publiczności, chcącej wziąć udział w wycieczce, tygodnik „ŚWIAT" wprowadza inowację organizacyjną, polegającą na rozpiętości „dat wyjazdu" i „cen ryczałtowych".

1) PUNKTY ZBORNE I STACJE ODJAZDOWE:

WARSZAWA:

dla wycieczkowiczów z Warszawy i miejscowości, z których przejazd przez Warszawę jest konieczny.

KATOWICE:

dla wszystkich tych wycieczkowiczów, którzy nie muszą przejeżdżać przez Warszawę.

WYJAZD Z WARSZAWY:

dnia 3, 5, 7, 9, 16 sierpnia b. r., każdorazowo o godz. 7-ej minut 35 rano z Dworca Głównego.

WYJAZD Z KATOWIC:

w tych samych dniach, jak powyżej o godz. 12-ej min. 13, z dołączeniem do wycieczkowiczów, wyjeżdżających z Warszawy.

2) CENY: (Ryczałt obejmujący: paszport zagraniczny, wizę, podróż 2-gą klasą lub 3-cią pociągiem pośpiesznym, mieszkanie, wyżywienie, podatki i świadczenia społeczne, taksę kuracyjną, nieograniczoną ilość wizyt u lekarza, nieograniczoną ilość kąpieli i zabiegów leczniczych, bieliznę kąpielową, rezerwowanie kabiny, ubezpieczenie bagażu, dowóz do łazienek i spowrotem, oświetlenie).

a) „DOM POLSKI":	2-gą klasą:	**zł. 660.–**	3-cią klasą:	**zł. 630.–**
b) „KURSALON":	2-gą klasą:	**zł. 580.–**	3-cią klasą:	**zł. 550.–**
c) „PRO PATRIA":	2-gą klasą:	**zł. 530.–**	3-cią klasą	**zł. 500.–**

Dla osób towarzyszących, niekorzystających z kuracji, ceny ulegają zniżce i wynoszą:

a) „DOM POLSKI":	2-gą klasą:	**zł. 500.–**	3-cią klasą:	**zł. 470.–**
b) „KURSALON":	2-gą klasą:	**zł. 400.–**	3-cią klasą:	**zł. 370.–**

Ceny powyższe rozumieją się dla wycieczkowiczów, wyjeżdżających z Warszawy. Dla wycieczkowiczów, wyjeżdżających z Katowic, ceny powyższe obniżają się w 2-giej klasie o zł. **35.–**, zaś w 3-ciej o zł. **18.**—.

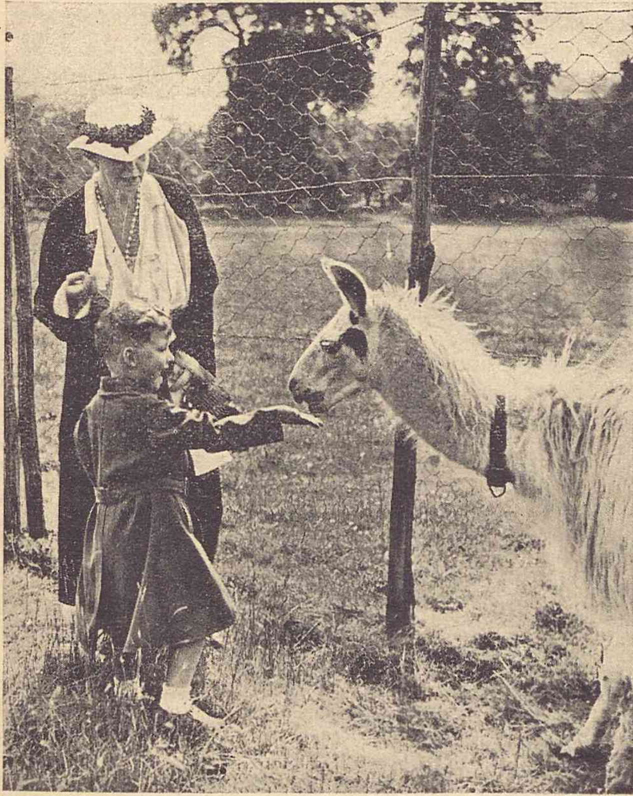
3) Bliższe szczegóły pisemnie dla pozamiejscowych, zaś osobiście dla mieszkańców Warszawy:

ADMINISTRACJA TYGODNIKA „ŚWIAT"
SZPITALNA 12, TEL.: 5-04-00.



Gablotka urządzona przez tygodnik „Świat" o PISZCZANACH na ul. Marszałkowskiej (front Dworca Głównego).

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"



Królowa matka Marja rumuńska, która z członkami swojei rodziny przebywa w księstwie Kentu, odwiedziła z wnukami ogród zoologiczny w Maidston. Nasze zdjęcie przedstawia ją z najmłodszym wnukiem arcyksięciem Stefanem, karmiącym lamę.

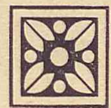




Podczas konkursu ujeżdżania konia, który odbył się ostatnio na torze w Ranelagh pod Londynem, jednym z punktów jazdy konkursowej było opanowanie nerwów pięknych uczestniczek i koni. Nasze zdjęcie przedstawia scenę zapalania papierosa podczas jazdy.

DWA KONKURSY ELEGANCJI SAMOCHODÓW





NA LEWO:

Zestawienie dwuch fotografji sprawia dziwne wrażenie, reprezentując różnice epok. Z lewej strony: elegantka z r. 1900 na konkursie piękności samochodów. Z prawej: piękność naszych czasów przy swoim wozie, będącym wyrazem ostatniego modernizmu.

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta", której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Aż się trzęsie od plotek!

Ten Lipowski, gdyby miał poważne zamiary, byłby u rodziców z wizytą.

Ten Lipowski, gdyby ją kochał, nie narażałby jej na takie plotki!

Ten Lipowski odsunął od Marty wszystkich mężczyzn!

Ten Lipowski popsuł dziewczynie opinję!

Przez tego Lipowskiego Marta zostanie starą panną!

Najgorsze jest to, że Marta musi z tym Lipowskim jechać do Krakowa! Podobno teatr krakowski ma grać sztukę Lipowskiego z wypożyczonemi od teatru warszawskiego dekoracjami. Te dekoracje muszą zmontować w obecności samej dekoratorki! Na to niema rady!

To jest okropne!

Co ludzie na to powiedzą?

Jakie to są czasy!

Jadą podobno razem i to nocnym pociągiem! Co w takim przedziale będzie się działo, tego się łatwo domyśleć!

Marta powinna do Krakowa pojechać z matką, albo ze stryjenką Tutą, od której zupełnie się odsunęła ostatniemi czasy. Ale nie. Marta jest uparta, jak kozioł i Marta jedzie sama z nim!

To są czasy! Zgnilizna i zepsucie!

Pani Tarasowiczowa bierze dzisiaj już trzeci proszek od bólu głowy i pani Tarasowiczowa zapewnia, że tego wszystkiego nie przeżyje.

Marta narzeka, że się ludzie zanadto nimi zajmują! Ona wie co robi. Ona jest pełnoletnia i samodzielna! Opinja? Małżeństwo? Śmieszne rzeczy. Marta nigdy zamąż nie wyjdzie! Nawet o tem myśli! Praca wypełnia jej życie i praca daje jej szczęście! (Oh, Marto, jak bezczelnie kłamiesz!) Czem Lipowski jest dla niej? Jest dobrym kolegą — niczem więcej! Przyjacielem, którego się ceni i lubi. O miłości mowy niema! Że też ludzie zawsze z igły widły robią!

Marta wstaje z fotela, powleczonego świeżo uprasowanym białym pokrowcem i, idąc do matki po czystym, świeżo upranym chodniku, wygłasza teorje, od który włosy dęba stają.

Oni (to znaczy Lipowski i Marta) są szczęśliwi ze sobą. W tem ich koleżeństwie niema nic romantycznego. Zapewne szczęśliwi będą ze sobą jeszcze jutro, ewentualnie jeszcze... pojutrze... Nie przyrzekają sobie rzeczy, których nie mają zamiaru dotrzymać. Tak jest szczerzej i uczciwiej, niż było dawniej, kiedy młody człowiek „deklarował się", a potem zdradzał żonę na prawo i lewo!

Okropność!

Pani Tarasowiczowa bez słowa ręce załamuje!

Za matowemi szybami terkoczą maszyny dentystyczne, brzęczą rzucane na szklane blaty narzędzia, ktoś urywanym jękiem protestuje.

Marta żegna matkę i wychodzi.

Na ulicy jest wiosna. Nogi idą lekko po trotuarze, wyzwolone od botów. Barwna szmatka pod szyją wiewa na wietrze. Pęczek kaczeńców można kupić za 10 groszy, a narcyzy po 3 grosze za sztukę.

W domu ona wsypie czarną, tłustą ziemię do zielonej skrzynki, wiszącej za oknem. W tej ziemi posieje duże, lśniące nasiona fasoli i małe, pomarszczone nasiona nasturcji. Polewając małą konewеczką ziemię myśleć będzie o tem, że kiedy te nasiona zaczną kiełkować, rosnąć, zielenieć, pachnąć i oddzielać ją od szarości ulicy — Jurka już z nią nie będzie.

Wiosna.

Swoją drogą te wszystkie plotki zbuntowały ją i rozżaliły na niego.

On się.. nie „deklarował". Nie „oświadczał"!

Śmieszne. dawne wyrażenia. Jednakże, co tu mówić, jakże chciałabyś, żeby on tak... właśnie „po dawnemu" oświadczył się i zdeklarował!

Jeżeli odjedzie od ciebie, będziesz musiała ratować się pracą. Będziesz tą pracą musiała się opijać i odurzać, jak narkotykiem.

Czy będziesz umiała tak pracować, aby życie twoje osobiste zeszło na drugi, dziesiąty i setny plan?... Nie chcesz o tem myśleć. W tej chwili on jeszcze jest w Warszawie. Jeszcze jest!

Wprawdzie od dni kilku nie pokazuje się u ciebie. Ale jeszcze jest w Warszawie.

Co robi? Handluje swoją twórczością i jest wściekły. Wykłóca się o honorarja, targuje z wydawcami, ubija interesa z dyrektorem paryskiego teatru, udziela wywiadu kilku recenzentom, podpisuje umowę z jakąś wytwórnią kinematograficzną, ma tysiące pretensji do swojego sekretarza i... nie przychodzi do ciebie.

Nie przychodzi, pomimo, że jest... wiosna.

(D. c. n.)

Z TEATRU WILEŃSKIEGO



Lili Zielińska

Teatr Wileński wystawił sztukę młodego autora T. Chrzanowskiego. Ocenę tej komedji pióra p. Z. Kalicińskiej przedrukowujemy z „Expresu Por.".

Sztuka młodego autora, T. Chrzanowskiego, „Japoński rower", odniosła na premjerze duży sukces. Jest to komedja o dużem zacięciu satyrycznem, piętnująca faryzeuszowską moralność sfer ziemiańskich. Kapitalnie narysowana rodzinka bogatych snobów, chcąca się wyrzec siostrzeńca, zaplątanego przez lekkomyślność w przykrą sprawę i potępiającą go za romans z aktorką, zmienia krańcowo swój stosunek do Zbigniewa i jego ukochanej Krysi, gdy dowiedziała się, że Krysia otrzymała olbrzymi spadek po pierwszym mężu. Chrzanowski wykazuje doskonałą znajomość wymagań sceny i świetne podpatrzenie galerji typków godnej rodzinki. Komedja odznacza się dobrą budową, akcja w drugim i trzecim akcie tętni życiem i obfituje w doskonałe sytuacje i powiedzonka, wywołujące wybuchy śmiechu i huczne oklaski przy otwartej scenie.

Bardzo dobrze gra Ścibor rolę Zbyszka, partnerką jego, Krysią, jest pełna czaru Zielińska, która z ogniem zagrała scenę wykazania rodzince jej fałszu, obłudy i faryzeuszostwa. Górska z dużą finezją ujęła rolę koleżanki Krysi, Alinki, Wołłejko, jako redaktor Montwa, ma dużo ciepła i szlachetnej dobroduszności.

Z zacnej rodzinki najkapitalniej ujęła typ chciwej, obłudnej, zakłamanej cioci Pelasi, Jasińska. Każdy szczegół gry i charakteryzacji jest świetnie obmyślany i opracowany. Drochocka bardzo dobrze się wywiązała z roli pani Romy, Borowskiemu dobrze się udała charakteryzacja i drobne kroczki Chaplina, czyniące z wuja Jana bardzo komiczną postać. Dobrze gra drugiego wuja Śródka, a Dejunowicz, jako tabotyczny stryj Klemens, stworzył prawdziwą kreację. Ładne dekoracje, zwłaszcza garsoniery i staranna reżyserja dyr. Szpakiewicza, podkreślają rzetelne wartości tej dowcipnej komedji, której należy życzyć długotrwałego powodzenia.

Zofja Kalicińska.



Kochankowie (Lili Zielińska i Ścibor) przekomarzają się ze złośliwą przyjaciółką Aliną (I. Górska).

„Japoński Rower" T. S. Chrzanowskiego.



Kapitalna ciotka Pelagja z lubelskiego (Irena Jasińska) z wujem Klemensem (K. Dejunowicz) biadają nad niewdzięcznością... szansonistek.

NOWA SŁAWA NOWELISTYKI

Pani Malachi Whitaker, angielska nowelistka, o przystrzyżonej po chłopięcemu główce i wielkich, bystrych oczach, ma już w swoim dorobku literackim cztery tomy nowel. Już pierwszy zbiór pod tytułem „Mróz w kwietniu" zwrócił uwagę krytyków swoją oryginalnością. Drugi tomik, zatytułowany, „Bez bagażu", utwierdził ich w przekonaniu, że można ją zaliczyć do rzędu wielkich nowelistów świata. Nowele jej nazywano literackiemi miniaturkami, tworzonemi przez impresjonistkę. W ostatnim zbiorze p. t. „Miodowy miesiąc" autorka rozwinęła jeszcze swój talent, powiększyła zasięg. Chwyta moment i snuje z niego bogactwo treści. Przypadkowe spotkanie, pierwszy lepszy ułamek życia, przygodne odwiedziny, stają się ogniskiem, w którem pisarka skupia wszystko co było zasadnicze w opisywanem przez siebie życiu. Oto próbka jej stylu, krótka nowelka p. t. „Hanna.

HANNA

Hanna skończyła lat siedemnaście i ten rząd tortów, ciast i ciastek spiętrzonych na kuchennym kredensie był niemal wyłącznie jej dziełem. Przyglądała się im, a jej zdrowa, różowa twarz płonęła dumą. Miała na sobie niebieską sukienkę i biały fartuch, a włosy spadały jej po pas brunatno-złotą falą.

Zabawa powinna udać się świetnie. Będą wszystkie dziewczęta z jej niedzielnej szkółki i czterech najlepiej wychowanych chłopców. Następnie będzie ten młody człowiek, Tomasz Henryk Smithson, ten, z którego wszystkie dziewczyny pokryjomu się śmiały. Doprawdy był zbyt sumienny, zanadto niezręcznie uprzejmy. Kapelusze jego wydawały się zawsze za małe, spodnie za ciasne, obuwie za wielkie. Ale jej matka lubiła go. Pomagał gości bawić, śpiewał parę piosenek głosem, który według niego był barytonem i nic go nie mogło z równowagi wyprowadzić.

Hanna gotowa była znieść wszystko, o ile przyjdzie Ralf Wellings. Miał lat dziewiętnaście. Jakie to dziwne, żeby on właśnie był synem tego tłustego, pogodnego pastora. Mówiono o różnych jego sprawkach, ale Hanna nic w tem nie widziała złego. Czasami spotykali się o zmroku i wówczas towarzyszył jej poprzez lasek aż do fermy Hoyle'a, a wracając, niósł za nią w papierowej torbie od cukru tuzin jaj.

Oczywiście każdy uważa, że się jest jeszcze dzieckiem, mając lat siedemnaście, ale Hanna czuła się już dorosła. Z Ralfem Wellings mogła rozmawiać o znanych sobie rzeczach, o właściwym sposobie robienia karmelków toffy, o książkach, które niedawno znalazła na strychu, starych książkach, w których wszystkie litery *es* były napisane jak *ef* i o najulubieńszych melodjach pieśni kościelnych. On nigdy się z niej nie śmiał i to było bardzo miłe.

Kochała go bardzo, a zachwycała się najwięcej jego czołem. Było białe i wysokie. Jego kruczo czarne włosy, przedzielone na boku, wiły się równie pięknie jak jej. „Jeśli się pobierzemy i będziemy mieli dzieci, napewno będą im się włosy kręciły" — myślała. Podobały się jej także jego piwne oczy ze złotemi plamkami i długie palce z trójkątnemi paznokciami. Nazywał ją „sympatycznem dzieckiem" i cieszył się zawsze kiedy ją widział.

Oderwała zachwycony wzrok od ciasta i weszła do mleczarni. Dom był kiedyś folwarkiem i chłodną śpiżarnię o kamiennych półkach nazywano jeszcze mleczarnią. Jedna strona wypełniona była jadłem. Była tam cała brunatna szynka na półmisku, a obok stał drugi półmisek ze świetnie przyrządzoną pieczenią wołową. Na trzecim znajdowało się kilka funtów pulchnych, rumianych kiełbasek. Ptysie nadziewane kremem już były gotowe, jak również duszone owoce dla tych, którzy lubili skromniejszy deser, a już bitej śmietany było napewno więcej niż goście mogli spożyć.

Uśmiechając się radośnie, wybiegła z mleczarni, poszukując matki.

— Czy mama już się szykuje? — zawołała.

— Tak.

Matka stała, obnażonemi rękami przed owalnem lustrem, z ustami pełnemi stalowych szpilek do włosów. Miała na sobie spódnicę, ale czarny jedwabny stanik leżał jeszcze przewieszony na zaokrąglonej poręczy łóżka.

— Jeszcześ się nie umyła, dziecko? — Zdawała się mówić szorstko, lecz to tylko głos jej brzmiał tak z powodu szpilek. — Ani się obejrzymy, kiedy już goście będą. Zobaczysz jaki będziemy mieli gwałt.

— To mniejsza, mamo. Wszystko wygląda cudownie. Chciałabym, żeby już goście tu byli.

Wybiegła z pokoju i zmieniła suknię w tempie błyskawicznem. Twarz miała czystą, ręce białe. Poco to ciągłe mycie i mycie? Teraz miała na sobie tę różową letnią sukienkę, w której wyglądała dużo poważniej. Hanna kręciła się w kółko, aż spódniczka cała w falbankach wydęła się, jak balon. Równocześnie przeczesywała włosy grzebieniem.

— Będę mu się podobała, podobała,

podobała — nuciła. Pędem pobiegła do pokoju matki i zadyszana rzuciła się z impetem na wielkie łoże.

— Hanko, Hanko, przestań być dzieckiem — zawołała matka z wymówką.

*

Hanna spała długo. Budziła się powoli, czując przez powieki szare światło. Jej wykrzywione i wyschłe ręce spoczywały na niebieskiej kołdrze. Siwy warkoczyk wysuwał się na ramię, a dosięgając piersi zamieniał się w związany nitką mysi ogonek.

Poruszyła się, otworzyła oczy i zwilżyła wargi. Ranek był słoneczny i cichy. Było ciepło, bardzo ciepło. Zdrzemnęła się nawpół i myślą przeniosła się do przyjęcia, które matka jej wyprawiła, kiedy skończyła lat siedemnaście. Tego dnia Ralf Wellings pocałował ją poraz pierwszy. Nieświadomie uśmiechnęła się... Pamiętała też różową suknię z falbankami. Jakżeż wszystko było cudne.

Podniosła wzrok kiedy drzwi się otworzyły i namarszczyła się nieco na widok brzydkiej kobiety w średnim wieku z książeczką w ręku.

No, babciu — odezwała się kobieta pogodnym i miłym głosem. Zachodziłam parę razy, ale babcia spała. Jerzy jedzie właśnie na pocztę w samochodzie doktora, więc może babcia podpisze zaraz książeczkę emerytalną. Śpieszy się. Podniosę babcię trochę na łóżku.

Otoczyła ciepłą chustką ramiona staruszki i podtrzymywała ją przy pisaniu. „Hanna" — podpowiada powoli, lecz potem uwagę jej zajęło coś innego. Popatrzyła na podpis i wykrzyknęła zmartwiona. — Och, babciu, znów to samo babcia zrobiła. A jej, co teraz będzie kłopotu. Podpisała się babcia Hanna Wellings, a przecież nazywa się babcia Smithson — Smithson — Smithson.

przeł. *W. P.*

NIEZWYKŁA TRESURA



Lis, wiozący na spacer gąskę, to rezultat niezwykłej a zabawnej tresury zwierząt, której pokaz stanowi clou najnowszego programu w „Adrji".

„ORKA NA UGORZE" W DRUGIM WYDANIU

Nagroda m. Krakowa, przyznana w tym roku jednogłośnie Janowi Wiktorowi za jego najnowszą powieść pt.: „Orka na ugorze", przyczyniła się do tak szybkiej sprzedaży tej książki, że po wyczerpaniu pierwszego wydania zabrakło jej przez pewien czas na półkach księgarskich.

Obecnie ukazało się drugie wydanie tej głośnej powieści, co umożliwi wielu letnikom przeczytanie jej jeszcze podczas wywczasów wakacyjnych.

Dyskusja nad aktualnemi tematami tej powieści zapewne nie prędko zamilknie.

„Ada" w świetle jupiterów

Atelier „Sfinks". Groźny ryk klaksonu. Zdjęcia dźwiękowe. Cisza... Gotowe! Rozlega się głos reżysera. Łączyć. Jak echo odzywa się głos „panienki od stolika". W absolutnej ciszy słyszymy tylko tykanie zegara. Wtem ostry zgrzyt i wszystkie spojrzenia biegną w kierunku wyskakującej właśnie zabawnej kukułki. Ku-ku... ku-ku... Wskazówki sekundują kukułce — jest godzina druga... ale cóż to, w dalszym ciągu rozlega się kukanie. Rzut okiem w kierunku drzwi. To Gierasieński — posłaniec Rzepko, powraca z nocnej wyprawy i dodając dziesięć kuknięć odbywa podróż w czasie, zadając fałsz zegarowi. A to wszystko dlatego, że za kotarą kryje się „siła wyższa" nie tolerująca nocnych wycieczek mężowskich. Groźne chrapnięcie i ukazuje się pokryta papilotami głowa, a za nią zażywna postać kapłanki domowego ogniska z wielką miotłą w dłoni. „Miłości moja!" szepcze biedny „Gieras", ale karząca dłoń sprawiedliwości wzmocniona ciężarem kija szczotkowego spada na głowę pana i władcy.

Praca odbywa się składnie, widać skrupulatne przygotowanie do zdjęć. W przerwach wesoło. Humor trzyma się wszystkich; zasługa to wielkiej ilości komików biorących udział w filmie „Ada — to nie wypada!", ale i reżyser Konrad Tom godnie sekunduje Fertnerowi, Krukowskiemu, Gierasieńskiemu i innym — parodjując sylwetki popularnych postaci ze świata sceny. Bohaterki filmu — Niemirzanki także trzymają się kawały; tak „weszła" w rolę niesfornej pensjonarki Ady, że zachowuje się nawet podczas przerw w pracy jak szesnastolatka. Żabczyński, który ma udawać w filmie, że ma napuchniętą twarz, trenuje się przy pomocy czereśni wystających pod policzkiem, rzecz jasna, że korzysta z okazji i naraża producenta na nieprzewidziane wydatki, konsumując kilogram dorodnych owoców. Jesteśmy przekonani, że z takim humorem zrobiony film, zarazi swą wesołością także publiczność.

„Film winien być odbitką prawdziwego życia" — mówi Elżbieta Barszczewska

W stosunkowo szybkim czasie zabłysło na firmamencie filmu i teatru nazwisko — Barszczewska, będące własnością jednej z najpiękniejszych warszawianek i jednocześnie najwybitniejszej indywidualności aktorskiej polskiej sceny i ekranu.

Genjalna doprawdy kreacja tej artystki w „Tessie" (Kennedy) utorowała jej drogę do największej sławy i wpłynęła na to, że krytycy zgodnie nazwali ją fenomenem aktorskim i opatrzyli tę błękitnooką piękność wieleznaczącym epitetem — „polska Elżbieta Bergner".

Jak wszystkie artystki, Barszczewska nie lubi mówić o sobie. Z trudem udaje się nam nakłonić ją do zwierzeń.

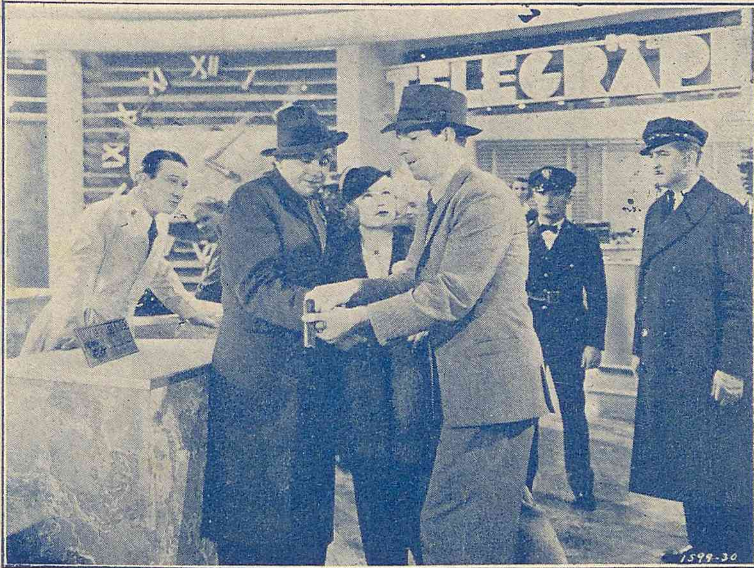
Pada pytanie:

— Co pani woli, grę w filmie czy na scenie?

— To dla mnie wszystko jedno. Chętnie gram i w teatrze i we filmie. Uzależniam moje placet tylko od roli, którą mam grać. Lubię role z życia, oparte na prawdziwych zdarzeniach... Jestem zdania, że film winien być odbitką prawdziwego życia. Tem też tylko tło-

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

FILMU



Akcja! Dramatyczna scena z filmu „New-York — San Francisco", rozgrywająca się w kabinie wielkiego samolotu pasażerskiego. Na zdjęciu widzimy wszystkich bohaterów filmu z Fredem MacMurrayem, Joan Bennett i Alanem Baxterem na pierwszym planie.
Fot. Paramount

maczę sobie powodzenie „Tessy" i dl· tego wierzę w sukces filmu „Trędowata", w którym odtwarzam rolę główną.

Z roli mojej w „Trędowatej" jestem b. zadowolona i jestem pewna, że mój triumf w tym filmie będzie ro[illegible]y triumfowi scenicznemu, który osiągnęłam w „Tessie".

„Wierna Rzeka"

Jedno z największych arcydzieł naszej literatury, powieść Żeromskiego p. t. „Wierna Rzeka", doczekało się wreszcie opracowania filmowego.

Scenarjusz opracował Anatol Stern, a reżyserję objął Leonard Buczkowski. Film zakrojony jest na wielką skalę i wytw. „Orfilm" produkująca ten film nie szczędzi wysiłków, aby stanąć na wysokości zadania....

Plenery „kręcone" są w okolicy Kielc. Wielka ekspedycja filmowa wytwórni „Orfilm" wzbudziła sensację wśród okolicznych mieszkańców. Malowniczy krajobraz kielecki stanowić będzie piękne tło dla filmu.

Główne rolę obejmują Baśka Orwid i Mieczysław Cybulski.











Kaprys markizy Pompadour

Film osnuty na tle historji portretu markizy, jako mieszczki.

Kaprys markizy — to miłość do biednego malarza Francois Boucher.

Miłość piękna, prosta i bezpośrednia, miłość, która małżeństwem nie może być uwieńczona.

Szkoda, że ten fragment życia wszechwładnej markizy jednak całkowicie nie wyzyskano i nie rozwinięto. Szkoda, że tak wspaniały i lubiany przez polską publiczność, sympatyczny Leo Slezak został niewykorzystany należycie.

Szkoda, że Käthe v. Nagy gra trochę sztucznie, nienaturalnie, że nie stworzyła z tej roli tego, co mogła stworzyć — wina również zresztą i scenarjusza... Szkoda wielu rzeczy. Ale trudno wymagać doskonałości.

Willy Eichberger sprawia miłe wrażenie, a jego męska postać pociąga swoją siłą. Gra trochę za powściągliwie, zresztą interesująco.

Zupełnie poprawnie wywiązał się ze swej roli króla Anton Edthofert.

Film byłby bardziej interesujący, gdyby reżyser Gentner nie potraktował ten obraz zbyt fragmentarycznie. Nie wyzyskał wielu nasuwających się sytuacyj i możliwości.

Film jako całość jest przyjemny, a akcję obserwuje się z zainteresowaniem. Nadprogram „Kubuś" Fleischera i dodatek PAT-a.

Z OSTATNIEJ PREMJERY W ATLANTICU



Na ekranie kina Atlantic, widzieliśmy znakomitą komedję muzyczną „Noce Egipskie", w której główną rolę gra król komików, słynny wesołek amerykański Eddie Cantor.

Film, który nadchodzi...

„ZAPOMNIANE TWARZE"

Mocny dramat, bez elementów komedjowych. Film utrzymany w poważnym tonie, którego treścią jest walka psychologiczna między mężem i żoną, którzy mają dla siebie jedynie gorzką nienawiść. Ze względu na niezwykłą treść, doskonałą grę aktorów, jak i realistyczne podejście — film odpowie najszerszym masom.

Harry Ashton zabija Dawidsona, kochanka swojej żony, Cleo. Przed oddaniem się w ręce władz, prosi policjanta Donovana, swego serdecznego przyjaciela, by znalazł odpowiedni dom dla jego córki Sally, by była raz na zawsze wyłączona spod wpływu swej matki. Ashton idzie do więzienia. Cleo występuje w teatrzykach kabaretowych i stacza się coraz niżej. Sally pod opieką swoich przybranych rodziców, Mc Bride'ów, wyrasta na uroczą pannę. Tymczasem ogłoszone zostają zaręczyny Sally. Ashton dowiaduje się od Donovana, że Cleo wyśledziła ich dziecko. Zostaje wypuszczony z więzienia za słowem i zaprasza Cleo do domu Mc Bridów i tu oświadcza jej, że nie wolno jej nigdy zobaczyć córki, a piętno ich zbrodni nie może zaciążyć



Herbert Marshall. Fot. Paramount.

na życiu Sally. Cleo w rozpaczy zabija męża i ginie w ucieczce.

Dramatyczna treść i doskonale odtworzone role przez Herberta Marshalla i Gertrudę Michael trzymają widzów w napięciu.

Film ten w tych dniach ukaże się w kinie Światowid.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa